Z bajką
przez
pokolenia

Z bajką
przez pokolenia

RSM PRAGA
Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa

sfinansowano z Funduszu Animacji Kultury

Program Rewitalizacji

na_prawa Warszawa

Warszawski Program Edukacji Kulturalnej

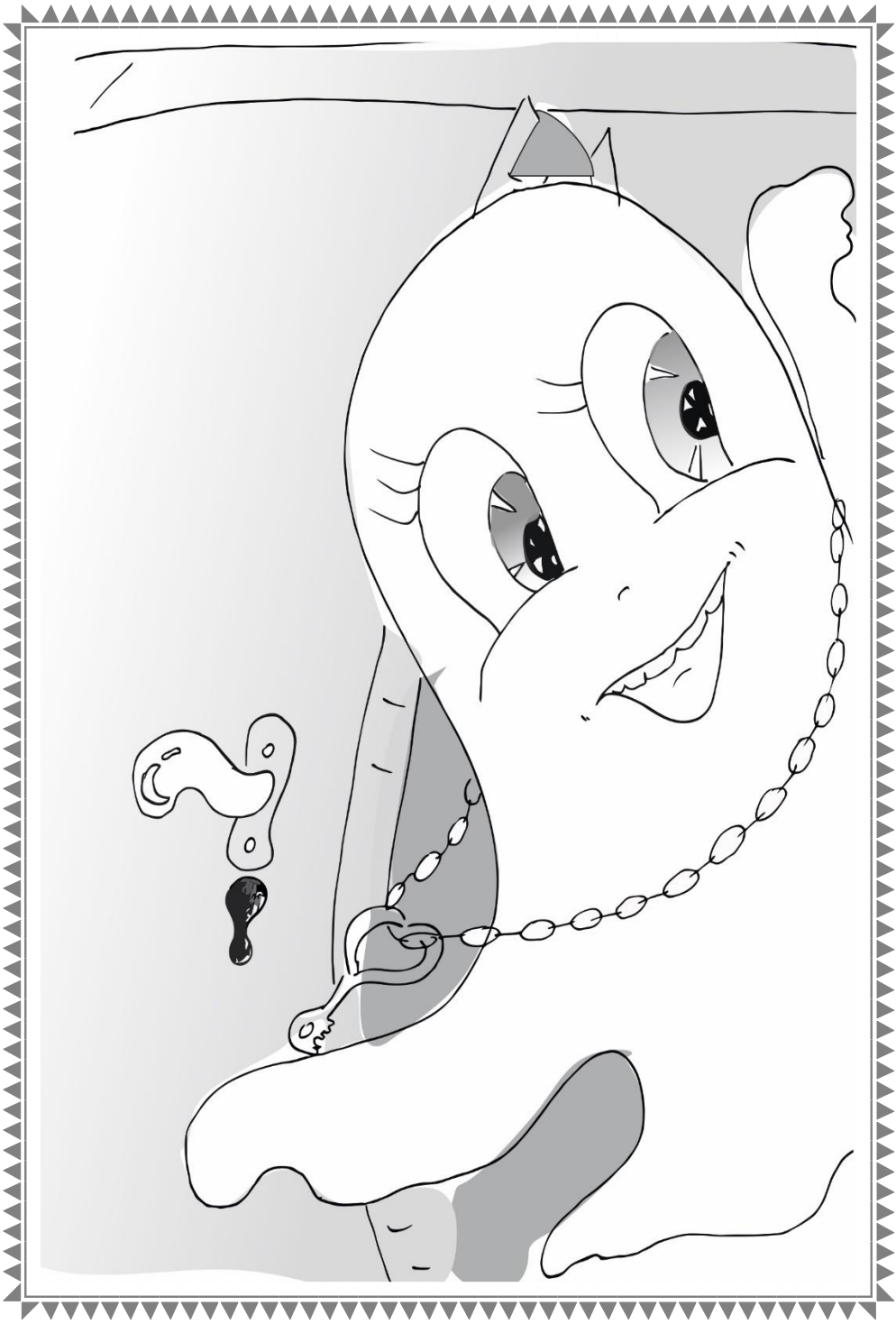

Z bajką
przez pokolenia

Biblioteka Publiczna w Dzielnicy Targówek m.st. Warszawy
Wydawnictwo Literackie Białe Pióro
Warszawa 2017

Copyright© Wyd. Lit. Białe Pióro
Copyright© Biblioteka Publiczna w Dzielnicy Targówek m.st. Warszawy
Copyright© Agnieszka Kazała
Warszawa 2017

Projekt okładki: Agnieszka Kazała
Ilustracje pod kierownictwem Agnieszki Kazały
Skład i łamanie: WLBP
Korekta: Marta Gąsiorek, Maja Szkolniak
Redakcja: Agnieszka Kazała, Beata Grochowska
Dokumentacja fotograficzna: Beata Grochowska
Koordynator projektu z ramienia placówki „Nasz Klub" RSM Praga Osiedle „Generalska": Beata Grochowska
Koordynator ds. realizacji projektu i kontaktu z mediami z ramienia Biblioteki Publicznej w Dzielnicy Targówek m.st. Warszawy: Katarzyna Przybysz-Mendyk
Pomoc merytoryczna przy pisaniu projektu – Weronika Chodacz

Biblioteka Publiczna w Dzielnicy Targówek m.st. Warszawy
www.multibiblioteka.waw.pl
Wydawnictwo Literackie Białe Pióro
www.wydawnictwobialepioro.pl

Wydanie: I, Warszawa 2017

Druk: TOTEM Inowrocław
ISBN: 978-83-920764-4-5

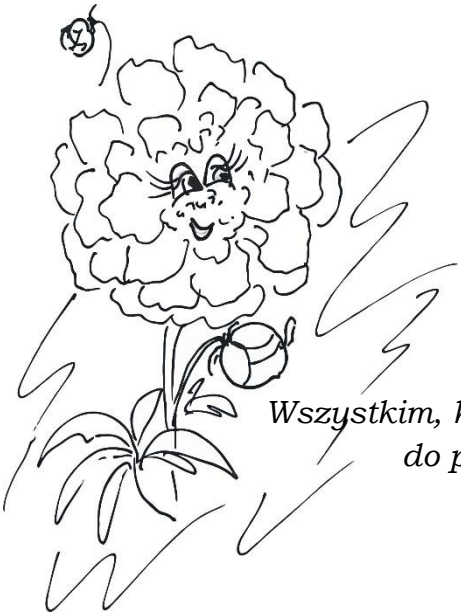

Wszystkim, którzy przyczynili się
do powstania tej książki

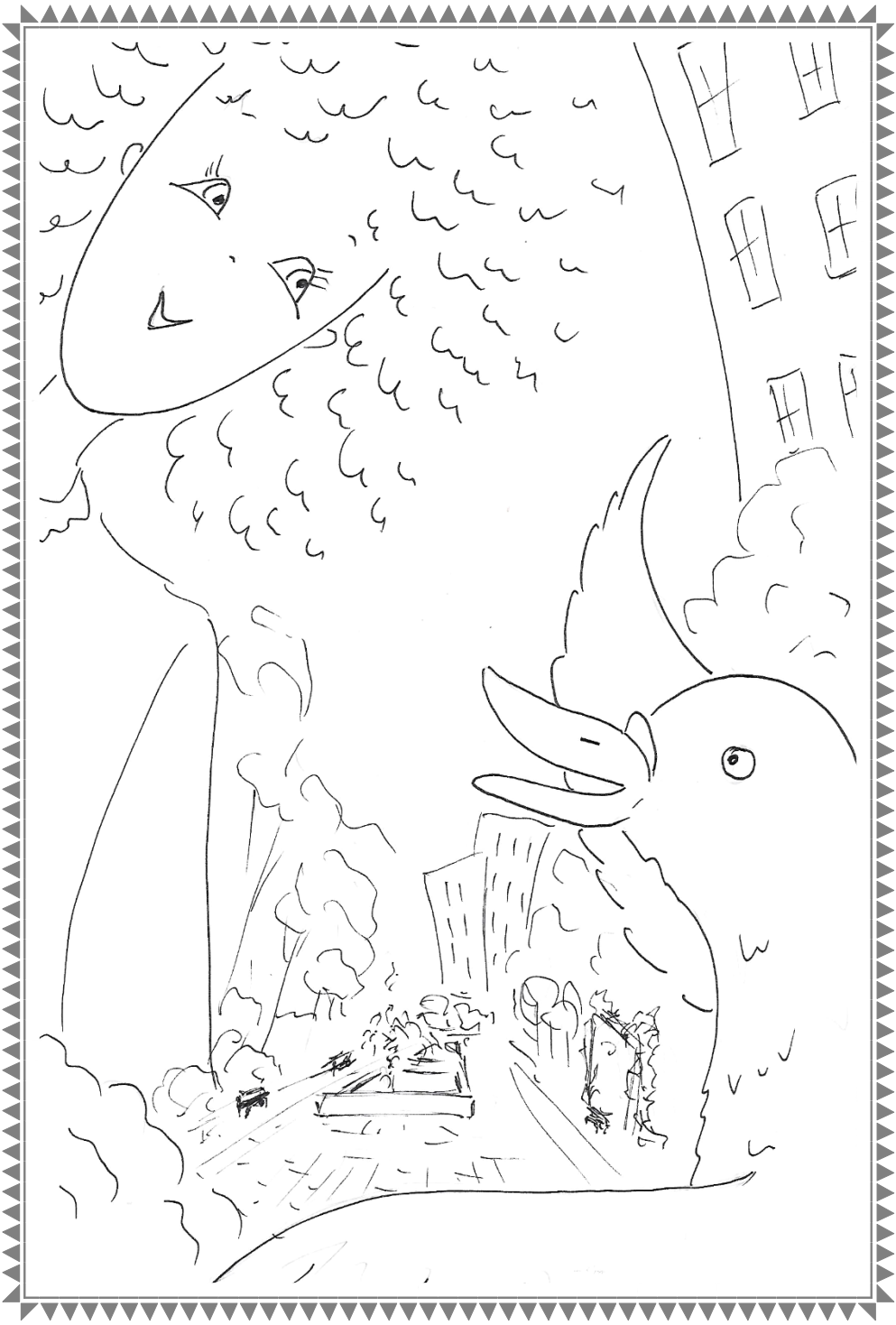

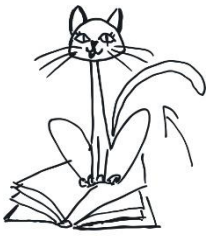

Drogi Czytelniku

Oddajemy do Twoich rąk tę oto książkę, mając jednocześnie nadzieję, że bajki w niej zawarte uradują Cię, napełnią sentymentem, wzruszą, przypomną jakąś sytuację związaną z Dzielnicą, w której mieszkasz, mieszkałeś, bądź zamierzasz zamieszkać.

Antologia bajek przygotowana specjalnie dla Ciebie, powstała dzięki projektowi literackiemu, który sfinansowany został z Funduszu Animacji Kultury zatytułowanemu „Z bajką przez pokolenia".

Projekt „Z bajką przez pokolenia" zrealizowany przez Bibliotekę Publiczną w Dzielnicy Targówek m.st. Warszawy przy współudziale NASZEGO KLUBU Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Praga" rozpoczął się w kwietniu bieżącego roku. Przez kilka miesięcy w NASZYM KLUBIE, przy ulicy Zamiejskiej 1, odbywały się warsztaty literackie i ilustratorskie. Uczestnikami byli utalentowani dorośli mieszkańcy Targówka, którzy wcześniej pisali, bądź dopiero co odkryli w sobie taki potencjał. W tym czasie powstało wiele ciekawych pomysłów przelewanych sukcesywnie na dyski komputerów. Zamierzeniem ogólnym było przygotowanie do druku kilkudziesięciu bajek, których akcja miała być osadzona na Targówku.

W wyniku naszych działań powstały utwory bardzo różne, bo też bardzo różni są ich autorzy: starsi i młodsi, o innych pasjach i zainteresowaniach. Bajki poruszają różnorodne tematy, wszystko to, czym żyjemy na

co dzień, co nas cieszy lub porusza. W naszym odczuciu jest to dużą zaletą zbioru, bo skłania do rozmów międzypokoleniowych, a że przeznaczony jest dla dzieci w rozmaitym wieku, nie tylko dla najmłodszych, czytany być powinien wspólnie z mamą, tatą, babcią czy starszym rodzeństwem. My zamierzamy je czytać w gronie sąsiedzkim.

Zilustrowaniem bajek zajęli się lokalni artyści, posiadający pewien dorobek twórczy, ale również dorośli amatorzy oraz dzieci uczęszczające na różnorodne zajęcia do naszych placówek. Przy tworzeniu ilustracji wykorzystano różne techniki artystycznego przekazu: malarstwo olejne i akrylowe, akwarelę i pastele, rysunek kredkami i szkic, kolaż, a nawet tkactwo; nie zabrakło też grafiki komputerowej. Stąd ilustracje są tak bardzo różnorodne, co, mamy nadzieję, jest dodatkowym atutem naszego projektu.

W większości przypadków ilustracja powstawała do bajki. W innych opowiastka napisana została do istniejącego już dzieła lokalnego artysty. Tak było w przypadku gobelinu z kotem, inspirowanego zagraniczną grafiką komputerową. Tkanie bowiem to pracochłonna i czasochłonna technika.

Efektem finalnym naszych wszystkich działań jest ta oto książka, którą, Miły Czytelniku, trzymasz właśnie w dłoni.

Dzięki projektowi poznaliśmy bliżej mieszkańców Targówka i poznaliśmy ich sposób postrzegania naszej Dzielnicy. Poznaliśmy wiele ciekawych osób zarówno pod względem artystycznym: literackim i plastycznym, jak i życiowym; reprezentantów różnych zawodów i zainteresowań. Ludzi o bogatym wnętrzu i chęci działań dla innych. Tacy

właśnie są nasi Autorzy.

Wszystkim, którzy pozytywnie odpowiedzieli na naszą propozycję oddania się sztuce literackiej i ilustratorskiej, serdecznie dziękujemy. Dzielnica Targówek może poszczycić się twórczą, oczytaną i cenną pod względem intelektualnym społecznością lokalną.

W myśl założeń projektu, niniejsza książka opatrzona tytułem „Z bajką przez pokolenia" będzie dostępna w placówkach Biblioteki Publicznej w Dzielnicy Targówek m.st. Warszawy i bibliotekach szkolnych na terenie naszej Dzielnicy. Jest to projekt o zasięgu dzielnicowym, lecz naszą książkę można będzie znaleźć również w Bibliotece Narodowej i innych placówkach ogólnopolskich.

Beata Grochowska

Spis ilustratorów:

Lidia Cybulska i Agnieszka Kazała (Balbina), Krystyna Dowgier-Malinowska (Bobry nad kanałkiem, Robot Felek), Emilia Krajewska (Kwiatowa bajka, O Haneczce, co pokochała krety, Hiper zaczarowana biblioteka – ilustracja druga), Ada Korzeniewska (Leo chce mieć zwierzątko - obraz), Małgorzata Kubicka (Leo chce mieć zwierzątko - szkice), Włodzimierz Cerański (Dziki w mieście), Małgorzata Rotter (Lisek chytrusek), Renata Frankowska (Moja gromadka, Moja przygoda w świecie baśni, Rodzina pingwinów), Ania Salmanowicz z mamą (Mysia Pysia), uczestnicy warsztatów ilustratorskich dla dzieci w placówce Nasz Klub pod kierownictwem Agnieszki Kazały: Ewelina, Adam, Dominika, Kasia, Piotrek, Julia, Tomek, Wiktor, Antosia, Madzia, Kinga, Karolina, Ania (Samochodowo), Agnieszka Kazała i Karolina Gołębiowska (Zaczarowany samochód), Agnieszka Kazała i dzieci z placówki Nasz Klub (Duszek Raduszek), Anna Rudowska (Targówkowe przygody), Danuta Odyniec (Ptak z podziemi SP nr 114), Anna Hercan (O chłopcu, który nie bał się Pana Śmierć), Kinga Woźniczko (Manetery), Marysia Szadkowska (Hiper zaczarowana biblioteka – ilustracja pierwsza), Marianna Krajewska (Bajka o kolorowym kocie), Agnieszka Kazała (Amelka, O Krzysiu i wodnym mieście, Bo takie jest życie, W co bawili się nasi rodzice, gdy byli dziećmi, Zaczarowany Targówek, Magiczna opowieść oraz pozostałe ilustracje dodatkowe).

Spis treści

Amelka 14
Balbina i Franek 21
Bo takie jest życie 27
Bobry nad kanałkiem 31
Kwiatowa bajka 36
Leo chciałby zwierzątko 41
Dziki w mieście 49
Robot Felek 54
Lisek Chytrusek 60
Moja gromadka 64
Moja przygoda w świecie baśni 68
Mysia Pysia 75
O Haneczce, co pokochała krety 81
Samochodowo, czyli burza w Piaskowym Miasteczku 86
Rodzina pingwinów 94
O Krzysiu i wodnym mieście 99
Mój bajkowy Targówek 104
Zaczarowany samochód 107
Duszek–Raduszek 113
Targówkowe przygody 121
W co bawili się rodzice, gdy byli dziećmi 131
Ptak z podziemi SP nr 114 140

O chłopcu, który nie bał się Pana Śmierci 149
Manetery 157
Hiper zaczarowana biblioteka 162
Bajka o kolorowym kocie 169
Magiczna opowieść 175

Amelka

Agnieszka Kazała

Nie tak dawno temu do jednego z bloków na naszym osiedlu, tego z niebieskimi, obitymi blachą bokami, pod numer piąty wprowadziła się mała dziewczynka. Zamieszkała tu z mamą, po tym, jak musiały opuścić rodzinny dom położony na krańcach miasta, gdy zaczęto tam budować drogę. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że dziewczynka miała talent i wielkie marzenia. Otóż Amelka, bo takie właśnie nosiła imię, pragnęła zostać sławną malarką. Marzyła, że jej obrazy zawisną kiedyś w ogromnym muzeum, albo chociaż na ścianach teatru, który znajduje się w pobliskim parku. Małe papużki, mieszkające razem z Amelką w niewielkim mieszkanku, szeptały jej na uszko, że potrafi i że może się tak stać. Dziewczynka wierzyła im i każdego dnia malowała ich portrety. Codziennie piękniejsze. A papużki były

szczęśliwe i ślicznie jej za to szczebiotały.

Amelka chętnie wychodziła przed blok, by zachwycać się zielenią trawników i cudownie błękitnym niebem nad jej głową. Błękit był jej ulubionym kolorem. Kredą na chodniku rysowała wspaniałe pejzaże. A sikorki i wróble podziwiały jej rysunki i to, jakie były kolorowe. Podpowiadały też, aby nie rezygnowała z marzeń, ponieważ ma wielki talent. Dziewczynka często siadywała na ławeczce i machała nóżkami. To bardzo ją rozweselało.

Mijały dni i Amelka dorosła. Z małej, beztroskiej dziewczynki stała się piękną kobietą. Poznała chłopca o błękitnych oczach, a że był to jej ulubiony kolor, postanowiła, że da mu szczęście. Została więc jego żoną. Potem na świat przyszły dzieci, które Amelka bardzo kochała. W ich błękitnych oczach widziała skrawki nieba i była szczęśliwa. Ale czegoś jej wciąż brakowało.

Ptaszki na żywopłocie witały ją wczesnym rankiem, kiedy szła do pracy i pytały o marzenia. Dawno tu nikt nie malował pejzaży na chodnikach. Jednak Amelka już nie rozumiała ich świergotu. Dorośli wiele rzeczy za-

pominają.

Gdy była dużo starsza i nie mogła chodzić tak szybko jak kiedyś, przypomniało jej się, że dawniej siadywała na ławeczce. Ale ławeczki już tu nie było. Ponoć komuś przeszkadzał hałas czyniony przez siedzącą na niej młodzież. Ten ktoś napisał skargę i ławeczkę zlikwidowano. A tak miło byłoby Amelce przysiąść i pomachać nogami. To by ją na pewno rozweseliło.

Pewnego razu Amelka zachorowała. Chorowała długo i była coraz słabsza, i słabsza. Niestety, lekarze nie mieli lekarstwa, które by mogło pomóc. Jej dzieci były już duże, ona zaś miała siwą głowę. Wiedziała, że przeżyła bardzo wiele i może odejść bez żalu za tym światem. Pewnego wieczoru zasnęła na Ziemi po raz ostatni.

Ziemskie życie to jednak nie wszystko. Dziewczynka otworzyła oczy po drugiej stronie nieba. Spojrzała przed siebie i zobaczyła ślicznego aniołka siedzącego na chmurce. Bose stópki wystawały mu poza biały puch. Siedział i machał nóżkami.

– Mogę się przysiąść? – zapytała grzecznie.

– Oczywiście – odparł aniołek. – Siadaj, pomachamy nogami, to bardzo ciekawe zajęcie i rozwesela. – I pomachali.

– Gdzie jestem? – zapytała po chwili Amelka.

– W niebie – odparł wesoło aniołek. – Nie widzisz?

– Widzę. Ale tu pięknie – westchnęła dziewczynka, która znów była mała i zdrowa. – Jak na obrazie – dodała.

– No właśnie – ucieszył się aniołek. – A gdzie są twoje obrazy? – zapytał.

– Jakie obrazy? – zdziwiła się Amelka. – Ja malowałam tylko po chodnikach i to wiele lat temu. Dawno wszystko spłukał deszcz.

– No właśnie, a miałaś zostać sławną malarką – odparł melancholijnie aniołek. – Czemu zrezygnowałaś ze swoich marzeń?

– Chyba o nich troszkę zapomniałam, może zabrakło mi wiary, że potrafię, a potem nie miałam czasu… – Dziewczynka posmutniała.

– Nie martw się – pocieszył ją mały towarzysz. – Tu mamy mnóstwo czasu i bardzo dużo przestrzeni – dodał. – Zobacz. – Wskazał

ręką za siebie i wysoko w górę. – Cały kosmos czeka na przemalowanie.

Amelka dokładniej się rozejrzała.

– Naprawdę? – spytała zaskoczona.

– Tak. Mamy tu wiele takich osób, które nie zdążyły zrealizować swoich marzeń. A to wielka szkoda. Dlatego tu każdy może wziąć farby i namalować najpiękniejsze planety jakie tylko potrafi wymyślić. Albo pomalować te, które już są, w najpiękniejsze wzory jakie jest w stanie sobie wyobrazić. Jest ich tyle, że starczy dla wszystkich. Chcesz?

– Ale mój ulubiony kolor to błękitny – przypomniała sobie Amelka.

– To się świetnie składa – ucieszył się aniołek i klasnął w dłonie. – Spójrz, niebo już dawno wyblakło, przydałoby się je odmalować. – Mrugnął porozumiewawczo swoim błękitnym oczkiem.

Od tej pory Amelka codziennie rano i wieczorem maluje niebo. Każdego dnia na inny odcień błękitu. I wszyscy ludzie na Ziemi podziwiają jej obrazy. Spełniło się jej marzenie. Stała się sławną malarką. Czasem dla urozmaicenia dnia myje pędzle deszczem i maluje

na niebie tęczę. Wtedy wszyscy wychodzą przed swoje bloki, albo na boisko szkolne, lub do parku przed teatrem, bądź też na łąkę i podziwiają jej talent. A ona siada na chmurce i macha nóżkami.

I jest bardzo szczęśliwa.

Czasem tylko myśli, że zbyt długo czekała.

Nigdy nie należy rezygnować z marzeń i zwlekać z ich realizacją. Najlepiej zacząć je ziszczać już na Ziemi, bo dzięki marzeniom i pasjom życie jest piękniejsze. Dzięki nim nie można zapomnieć jak to jest być dzieckiem.

Balbina i Franek

Teresa Szejwian
przepisywała: Elżbieta Masikowska

Posłuchajcie ludzie mili jak to niegdyś osadnicy w Warszawie żyli.

Gród znajdował się na ważnym szlaku handlowym. W nim, w małej chatce, tuż nad rzeczką Brodnią, mieszkała panna o wdzięcznym imieniu Balbina. Ciepłą porą nosiła Balbina sukienki lekkie, lniane, pięknie haftowane. Zimą suknie wełniane, kożuch i futrzaną czapkę.

Pewnego czerwcowego dnia, swoją smukłą łodzią przypłynął do grodu młodzieniec pięknej urody. Był to Franek. Przybył tu, aby kupić materiały ręcznie tkane przez Balbinę i jej Matkę. Gdy odpływał, Balbina podbiegła do rodziców:

– Mamo, Tato, co wy na to? Mnie się ten Franek tak bardzo spodobał!

– Mnie też się spodobał, bo pracowity i wie

czego chce – powiedział Ojciec.

– A mnie, że ma dobre serce – dodała Matka.

Franek pracował od świtu do nocy. Szył buty zwane ciżemkami, które sprzedawał na targu. Pomagał też swojemu Ojcu we młynie. Postanowił podzielić się tym, co miał z rodziną dziewczęcia, które bardzo mu się spodobało. Po kilku dniach Franek przywiózł dwa worki mąki i rodzicom Balbiny się kłaniał. Raz po raz na dziewczynę zerkał, komplementy do ucha jej szeptał.

Żegnając się, całą rodzinę do siebie w gości zaprosił.

– Na pobliskiej polanie zapalimy ognisko, będziemy razem blisko.

Dwie rodziny się spotkały, tańcowali i śpiewali: „Albośmy to jacy tacy i do tańca, i do pracy". Wieczorem, gdy zrobiło się chłodno, zabawa przeniosła się do Frankowej chaty. Kiedy słońce schowało się za horyzont, Balbina musiała wracać. Ojciec upominał, że nie można nadużywać gościnności.

– Co robić, trza wracać.

– A u was, Franek, podobno powiadają:

„Już dziesiąta na zegarze, idźcie do snu gospodarze, chwalcie Boga dobrodzieja, w nim cała nadzieja.”

– Tak, to prawda. A jutro też jest dzień. Odwiozę was łodzią, abyście szybko i bezpiecznie w domu swoim się znaleźli i powrócę.

– Franek – powiedziała Matka dziewczyny, wysiadając z gościnnej łodzi – w następnym tygodniu Balbina ma imieniny. Przyjedź. Zapraszamy.

– Przypłynę na pewno. Do zobaczenia. – Młodzieniec i jego piękna łódź powoli zniknęli w ciemnościach. Przez dłuższą chwilę widać było tylko malejący wciąż płomyk latarni zawieszonej na jej dziobie.

Balbina nie mogła się doczekać tego dnia, w którym rodzice wyprawić jej mieli przyjęcie w ich pięknym ogrodzie. Lecz kiedy wreszcie nadszedł, radości było co niemiara. Gości zjechało wielu i wszyscy w Brodzieńskim Grodzie przednie się bawili. Balbina i Franek wymknęli się wieczorem nad rzeczkę Brodnię. Usiedli nad jej brzegiem. Franek opowiadał Balbinie o pewnym wydarzeniu, które miało miejsce nad jego rzeką – Wisłą.

– Wiesz, Balbino, rybacy co dzień, wczesnym rankiem, łowią ryby w Wiśle, blisko naszego grodu. Pewnego razu zobaczyli jak burzą się fale, a z nich wyłania się piękna dziewczyna i śpiewa. Z każdym dniem byli bardziej jej śpiewem zauroczeni. Przychodzili i prosili:

– O syrenko, daj nam radość swą piosenką.

Pewnego dnia przypłynął bogaty kupiec. Spostrzegł cudną postać młodej dziewczyny wydobywającą się z wiślanych fal. Domyślił się, że to ona przed chwilą śpiewała.

– Ale… cóż to? – zdziwił się. – Dziewczyna do połowy jest kobietą, a od połowy ma rybi ogon!? Ale dziwy!

Kupiec postanowił, że odtąd syrena będzie śpiewać tylko dla niego. Zarzucił sieci, by ją złapać. Uwięził, zamykając w drewnianej szopie, w starej beczce

wypełnionej wodą. Syn kupca, Janek, przechodząc nieopodal, usłyszał rzewny śpiew syreny. Jej płacz i piękny głos tak go poruszyły, że postanowił syrenkę uwolnić.

Syrena z wdzięczności zarzuciła mu ręce na szyję i podziękowała. Na pożegnanie, ciesząc się wolnością, zaśpiewała:

– Śpiewałam dla was ludzie dobrzy. Ale na rozkaz śpiewać nie będę. Wolę zniknąć na zawsze w wiślanych falach; tylko szum rzeki od dzisiaj będzie was pozdrawiał.

– Musimy wracać do gości, im również to opowiesz – powiedziała Balbina zachwycona wiślaną opowieścią.

Jeszcze tego dnia Franek oświadczył się ukochanej. Za miesiąc już brali ślub w drewnianym kościele nad rzeką Brodnią. Żyli długo i szczęśliwie.

Wszyscy mieszkańcy osady o nich mówili:

– Są podobni do siebie jak dwie krople wody i zawsze jednako dążą do zgody.

L.C.2017

Bo takie jest życie

Jadwiga Śmigiera

Siedziałam na ławce w Parku im. Wiecha na Targówku i czytałam książkę. Nagle usłyszałam smutny głos moich wnuków:

– Babciu, chodź tu szybko, bo tu leżą jakieś ptaki!

Określenie „leżące ptaki" zabrzmiało niepokojąco. Od razu przeleciały mi przez głowę „Ptaki" Hitchcocka, ale nie zatrzymały się za długo, bo tam ptaki nie leżały, tylko atakowały ludzi.

Potem przypomniała mi się szalejąca od czasu do czasu „ptasia grypa", następnie polowania ptaków drapieżnych, a na końcu walki kogutów.

I wtedy stanęli przede mną ci trzej: najmłodszy – czteroletni Pytalski – z przerażeniem w oczach, średni – sześcioletni Pytalsko-Szczerbaty – nie mój, tylko zostawiony na przechowanie na około dwie godziny wnuk

sąsiadów, i najstarszy – ośmioletni Szczerbaty – z bardzo poważną miną.

I zaprowadzili mnie pod wysokie drzewa.

A tam naprawdę leżały trzy nieżywe młode ptaki. Niebieski kolor na skrzydełkach wskazywał, że mogły to być sójki. Wypadły albo zostały wyrzucone z gniazda, które było na jednym z drzew. Wydobywał się zresztą z tego gniazda jakiś głośny pisk.

Dzieci nakryły ptaszki płatkami kwiatów.

Zabrałam dzieci do domu. Pytalski był już zalany łzami, Szczerbaty mówił, że trzeba sprawdzić, czy te ptaki to są całkiem nieżywe, a Pytalsko-Szczerbaty powiedział, że pewnie dlatego wypadły z gniazda, bo się tam za bardzo rozpychały.

Znalazłam książkę Stefana Kłosiewicza „Ptaki święte, przeklęte i inne" i zaczęłam czytać dzieciom o kukułkach:

„(…) Kukułka uprawia tzw. pasożytnictwo lęgowe. To znaczy, że sama własnych gniazd nie buduje, lecz obdarza swymi jajami inne ptaki. W pobliże upatrzonego wcześniej gniazda nadlatuje samiec i odzywając się często, stara się odwrócić uwagę gospodarzy.

Tymczasem samica podlatuje chyłkiem do gniazda, bierze w dziób jedno ze złożonych jaj i na jego miejsce w ciągu czterech-pięciu sekund składa własne, po czym odlatuje. W locie albo połyka, albo odnosi gdzieś daleko porwane jajo i upuszcza je".

„(…) Gdy kukułczy niemowlak już się wykluje, po dziesięciu godzinach ogarnia go mania wyrzucania z gniazda wszystkiego co się w nim znajduje. Ofiarą pada oczywiście przybrane rodzeństwo, bez względu na stopień rozwoju – czy jest jeszcze jajem, czy już pisklęciem (…)".

Dzieciom oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

– To musiała być kukułka – stwierdził Szczerbaty. – I to ona powyrzucała te kolorowe ptaszki z gniazda – wytłumaczył młodszemu bratu i koledze. A ci dwaj nic nie mówili tylko kiwali przejęci głowami.

A potem cała trójka postanowiła zrobić sójkom pogrzeb.

Znowu wyszliśmy do parku, który jest pod naszymi oknami. Dzieci zabrały ze sobą pudełko wyścielone miękkim materiałem. Wło-

żyły do niego ptaszki razem z kwiatkami. Wykopały dołek pod tym samym drzewem, pod którym je znalazły. Na samej górze ptasiego grobu położyły kamień.

– Żeby żaden pies ich nie odkopał – powiedział Szczerbaty.

Gdy przyjechali rodzice tych dzieci, musieli wysłuchać smutnej opowieści.

Wieczorem słyszałam, jak Szczerbaty mówił do Pytalskiego:

– Bo takie jest życie, wiesz…?

Bobry nad kanałkiem

Krystyna Dowgier–Malinowska

Wasi dziadkowie, rodzice i starsze rodzeństwo pamiętają zapewne czasy na Zaciszu, kiedy kanały były dzikie. Kilka lat temu nie było promenady, przedszkola, placów zabaw, parku – ogrodu oraz kilku mostków.

Kanał Bródnowski był obrośnięty krzakami i drzewami, a po stronie Zacisza ciągnęła się wzdłuż niego, wśród gęstej roślinności, wąska, kręta ścieżka na stromym brzegu.

W tamtych czasach mała Dorotka chodziła z babcią na spacery i pokonywały gęste chaszcze nad wodą. Wokół rosły jesiony, jaśminy, czarny bez, sosny i jarzębiny. Wysokie trawy i malownicze osty zasłaniały brzeg. Mieszkało tam wodne ptactwo – kolorowe kaczki i zwierzęta niezagrożone intruzami. Słychać było śpiew ptaków, cykanie pasikoników, bzyczenie pszczół i os, cicho latały kolorowe motyle. Wieczorem można było spo-

tkać chmary komarów.

Pewnego razu na spacerze Dorotka zauważyła dziwne, olbrzymie ołówki wystające z ziemi przy brzegu kanałku. Tuż obok nich, w wodzie, leżały w poprzek kanałku drzewa i duże gałęzie. Woda była spiętrzona, a na gałęziach zatrzymywały się plastikowe butelki i foliowe torebki oraz kartony po sokach.

– Kto tak dziwnie zamiata wodę i nie wynosi śmieci? – zapytała Dorotka.

Babcia uśmiechnęła się i zaczęła opowiadać:

– To bobry, wodno-lądowe ssaki, roślinożerne gryzonie. Ale na pewno ani śmiecenie, ani sprzątanie to nie ich sprawa.

– Dlaczego? – zdziwiła się Dorotka.

– Bobry budują tamy, domki i żeremia, w których żyją – wyjaśniła babcia.

– A jak one kładą te wielkie gałęzie w poprzek kanałku? – drążyła temat wnuczka.

– Widzisz te ogromne ołówki? To resztki drzew, które bobry podcięły, wygryzły na pewnej wysokości w kształcie klepsydry. Po czym, dzięki ich inżynierskim zdolnościom, precyzyjnie przewróciły je na kanałek – opo-

wiedziała babcia.

– Babciu! Te bobry to chyba jakieś straszne olbrzymy z wielkimi zębami! – zaniepokoiła się Dorotka.

– Bobry są wielkości dużego psa, ważą piętnaście kilogramów, mają około jednego metra długości, krótkie nogi i długi, szeroki ogon. Świetnie pływają i niezgrabnie chodzą. Wyglądają dość ciekawie z tym pękatym, futrzanym tułowiem zakończonym głową, ale jakby bez szyi, i z masywnym ogonem. Mają mocne zęby i są bardzo pracowite – scharakteryzowała je babcia.

– A czemu te drzewa przy brzegu są przy ziemi owinięte metalową siatką? – spytała Dorotka.

– O, widzisz, pewnie mieszkańcy sąsiednich domów, obserwujący bobry i „ołówki" przez nie zrobione, postanowili ratować pozostałe drzewa i uniemożliwić bobrom ich obgryzanie – wywnioskowała babcia.

– To dobrze, nie będą się zbierać śmieci – zauważyła Dorotka.

– O, moja miła, przede wszystkim spacerowicze nie powinni wyrzucać opakowań do

kanałku. Teraz trzeba je zebrać i wywieźć – stwierdziła babcia.

Od czasu spacerów Dorotki z babcią minęło dziesięć lat.

Czy byliście teraz przy kanałku? Jest zupełnie inaczej. Szeroką, wybrukowaną aleją spacerują okoliczni mieszkańcy. Można tu spotkać rowerzystów i ludzi z psami. Jest czysto, są ławki, kosze na śmieci i kosze na psie kupki. Wiele osób korzysta z promenady, a wszyscy zachowują porządek i bezpieczeństwo. Piesi mają pierwszeństwo, a rowerzyści jeżdżą wolno i ostrożnie.

Jednak bobry chyba się wyprowadziły. Trzeba poobserwować. Może spotkamy jeszcze te „ołówki" i drzewa z ochronną siatką na dole pni. Wybierzmy się na spacer wzdłuż wszystkich kanałków. Przy jednym z nich jest nawet siłownia, na której można poćwiczyć różne partie mięśni, by po spacerze nie tylko nogi były rozruszane.

Kwiatowa bajka

Alicja Byszewska

Działo się to zimową porą, w pewnym mieszkanku, z którego okien widać było skwer z teatrem o pięknej żółtej elewacji. Kwiaty stały na parapecie, odchylając swoje liście od okna i wyciągając je w kierunku ciepła, które biło od strony grzejnika.

Przez szpary wdzierało się mroźne powietrze. To nie było dla kwiatów przyjemne, ponieważ wszystkie zostały wychowane w ciepłej, szklarniowej atmosferze.

Skrzydłokwiat o imieniu Weronika był już bardzo doświadczonym kwiatem, ale wciąż jeszcze młodym. Ubiegłego roku na wiosnę przy jej boku pojawiła się córka Michalina. Ogrodniczka natychmiast zajęła się Michaliną i poszukała dla niej małej doniczki. Michalinka z zadowoleniem zapuściła korzonki w nowym lokum. Stała zaraz obok matki i często wspólnie prowadziły długie rozmowy.

Drzewko szczęścia było malutką drobną roślinką, którą opiekunka postanowiła wychować na śliczne drzewko typu bonsai, gdyż uważała, że taki rodzaj jest idealny i doskonały. Ciągle przycinała mu gałązki i listki, a także dała mu niewielką doniczkę i mało poiła. Przeczytała w podręcznikach o hodowli, że tak należy robić.

Drzewko szczęścia jednak nie było szczęśliwe z tego powodu i uważało, że lepiej byłoby mu pozwolić normalnie rosnąć, tak jak innym drzewkom.

Całkiem niedawno na firance pojawiły się motylki. Opiekunka dostała je w prezencie. Wszyscy widzieli, że są piękne, ale mało kto wiedział coś na ich temat.

Rozmowy całego towarzystwa, które już było zmęczone zimą, krążyły wokół tego, co działo się na szybie okna. A były to niesamowite rzeczy. Najpierw pojawiły się krople. Po pewnym czasie w wyniku zmiany temperatury na dworze na bardzo zimną, powstał lodowy osad, który przybierał kształty łusek, igieł piór i wachlarzy. Wszyscy widzieli dokładnie to samo, ale każdy odbierał inaczej

ten widok. W motylkach wzbudził tęsknotę za kwiecistymi połaciami łąki. Chciały bardzo pofrunąć i trochę poczuć jej zapach, ogrzać się w promieniach słońca. Aktualnie jednak były przyczepione do poszarzałej firanki i służyły za dekorację, która miała odwrócić uwagę od szarości.

Weronika tłumaczyła córce, jak powstały te krople od strony fizycznej. Michalina, wysłuchawszy matki i przyjmując realistyczny obraz rzeczywistości, zatopiła się w swoich fantazjach o niewidzialnym malarzu, który na pewno maluje te wzory jakimś czarodziejskim pędzlem, traktując szybę jak swoje płótno. Drzewko szczęścia popatrzyło ze skupieniem na szybę i stwierdziło, że to co się tam osadza nie jest takie piękne i pewnie od tego będzie mu jeszcze bardziej zimno. Michalina z zachwytem patrzyła na te wzory i myślała, że może uda jej się takie skopiować i pokaże się w nich ubrana na wiosnę. Nie wiedziała jednak, że kiedy zbliży się wiosna, natura ubierze ją całkiem inaczej i nie będzie miała na sobie żadnych wzorów. Za to rozkwitnie jako biały kwiat.

Wiosna nadeszła dość szybko.

Słońce świeciło coraz dłużej, zrobiło się cieplej. Wszystko, co mogło kiełkowało: trawa i kwiaty za oknem, świeżo posiana rzeżucha, a nawet cebula i ziemniaki w kuchennym koszyku. Pojawiła się nowa firanka bardziej kwiecista i marzenie motylków się spełniło. Michalina urosła i zakwitła na biało. Wiele innych kwiatów również rozkwitło i każdy z nich był wyjątkowy. Każdy czymś się różnił. To właśnie w nich było najcenniejsze i najpiękniejsze. I nikt nikomu nie zazdrościł. Kwiaty są z natury bardzo życzliwe, a dzięki ich różnorodności świat jest taki kolorowy.

Leo chciałby zwierzątko

Małgorzata Kubicka

W pewnym bloku na Targówku mieszkał chłopiec o imieniu Leo. Wraz z tatą, mamą i ukochanym misiem Konstantym zajmowali mieszkanie na parterze. Leo miał swój pokój i swoje łóżeczko, a także klocki, z których budował niesamowite statki kosmiczne. To mu jednak nie wystarczało, bowiem bardzo chciał mieć zwierzątko. Problem polegał na tym, że nie mógł się zdecydować jakie. Ciągle zmieniał zdanie.

– Chciałbym mieć chomika! – wołał podekscytowany, gdy mijali z mamą sklep zoologiczny podczas zakupów. – On ma takie mięciutkie, puszyste futerko i potrafi zwijać się w kulkę. Można się do niego przytulać i toczyć go jak piłeczkę!

– Chomik to nie przytulanka, kochanie – tłumaczyła mu cierpliwie mama. – To żywe

zwierzątko i trzeba się z nim naprawdę bardzo delikatnie obchodzić, by nie zrobić mu krzywdy.

– Ja bardzo ostrożnie chodzę – zapewnił Leo, starając się nie zerkać ukradkiem na swoje poobcierane kolana i kolejne łaty na całkiem jeszcze nowych spodniach.

– Takie małe zwierzątka są bardzo kruche, przemyśl to jeszcze – zaproponowała mama.

– To może coś większego? – powiedział Leo podczas wizyty w zoo. – Na przykład tygrysa. Też jest mięciutki i puszysty, ale nie trzeba się bać, że się go przez przypadek zgniecie.

– Tak, bez wątpienia – uśmiechnął się szeroko tata. – Myślę, że to my musielibyśmy uważać, żeby taki tygrys nas przypadkiem nie rozszarpał podczas zabawy. Tak zupełnie niechcący.

– Nie mówiąc już o tym, ile taki tygrys zjada na pierwsze śniadanie – dodała mama. – Poszlibyśmy z torbami.

– A dokąd? I po co z torbami? – dopytywał.

– Tak się mówi, gdy coś bardzo drogo kosztuje. Utrzymanie takiego tygrysa byłoby kosztowne i nie stać by nas było na nic

innego, na żadne zabawki dla Ciebie, ani na inne potrzebne rzeczy. Nie mówiąc już o tym, że taki duży kotek potrzebuje bardzo dużej przestrzeni i nawet w naszym ogródku przed blokiem byłoby mu po prostu za ciasno.

– To faktycznie kiepska sprawa – zgodził się Leo, myśląc głównie o tych zabawkach.

– A jaszczurkę? – spytał podczas wieczornego czytania bajki na dobranoc. Tym razem wybrał sobie książkę o kręgowcach i bardzo spodobała mu się ilustracja przedstawiająca gekona. – Jest mniejsza od tygrysa i sama zdobywa sobie pokarm. Łapie muchy. Widzisz, jest pożyteczna.

– No tak, same plusy – uśmiechnęła się mama.

– A poza tym sama czytałaś, że takie jaszczurki gdy się skaleczą w ogon czy nogę to im nowa odrasta na miejscu starej. I to całkiem zdrowa – przekonywał Leo.

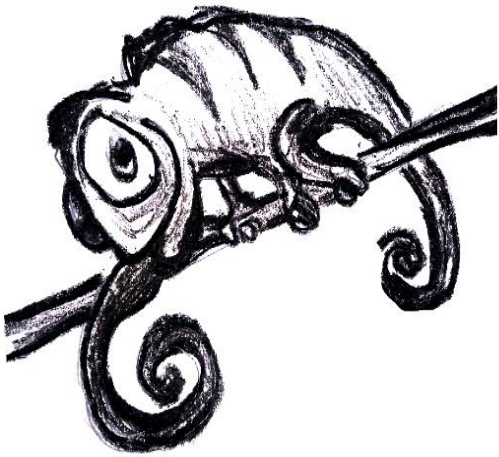

– Tylko ogon – poprawiła mama.

– Ale zdrowy – nie ustępował Leo.

– Tak, ale krótszy i to zawsze kosztuje zwierzątko mnóstwo wysiłku, jest bardzo wyczerpujące dla jego organizmu. A w ogonie gekon gromadzi zapasy. Ogon jest mu bardzo potrzebny, a odrzuca go tylko w sytuacji wielkiego zagrożenia życia, na przykład ataku drapieżnika. Ty chyba nie chcesz być dla zwierzątka drapieżnikiem? – dodała podejrzliwie mama.

– Oczywiście, że nie chcę. – Leo był o tym przekonany.

– Poza tym takie jaszczurki żyją w innym klimacie – westchnęła z rezygnacją mama i zaczęła cierpliwie tłumaczyć – Tutaj u nas jest dla nich po prostu za zimno. One potrzebują dużo słońca.

– To przenieśmy się w cieplejsze miejsce – zaproponował Leo.

– To nie takie proste, kochanie.

– Dlaczego?

– A twoje przedszkole, praca taty, a co z babcią? – wyliczała mama.

– Ich też przeniesiemy. – Szybko znalazł

rozwiązanie Leo.

– A jak dla nas będzie tam za gorąco, to co wtedy? – spytała mama.

Leo zamyślił się, otarł spocone czoło i poszedł bawić samochodami.

– Lenka ma pieska! – obwieścił Leo pewnego dnia po powrocie z przedszkola. – Wyprowadza go na spacery i daje mu miskę z wodą do picia i psią karmę w drugiej miseczce. A wczoraj była z nim u weterynarza. Po zastrzyk. I wcale się nie bała. Nic a nic. Czy ja też mógłbym mieć pieska? – prosił Leo.

– Przykro mi kochanie, ale tata jest uczulony na psią sierść – wyjaśniła mama.

– Co to znaczy uczulony? – nie mógł zrozumieć Leo. – Poza tym to byłby mój pies, a nie taty.– Tak, ale piesek mieszkałby w domu razem z nami. Uczulony, to znaczy, że od psiej sierści tata źle się czuje, kaszle i ma katar.

– Ja mam katar, kiedy jestem przeziębiony i łykam wtedy syropek. Nie możemy dać tacie syropku? – dopytywał się Leo.

– To tata musiałby cały czas brać syropek,

dopóki piesek mieszkałby z nami, bo gdyby przestał brać, to dostawałby znowu kataru. A poza tym o takiego pieska trzeba regularnie dbać. Codziennie wyprowadzać go na spacer. Dawać mu jeść.

– Mogę to robić – zapewnił Leo.

– To może zaczniesz od zadbania o porządek w swoim pokoju? – zaproponowała mama.

– To nie to samo – stwierdził Leo. – A tak w ogóle to ja lubię swój pokój taki jaki jest.

– To dlaczego nic nie możesz nigdy znaleźć? – Chłopiec już nie miał czasu, aby odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ musiał pilnie jechać do przedpokoju swoją nową ciuchcią wyposażoną w wagony pełne cennych towarów.

*

– To jakie ja mogę mieć zwierzątko? – dopytywał Leo podczas spaceru. – Ja tak bardzo chcę mieć jakieś zwierzątko! A co z tym ptaszkiem? – spytał nagle na widok sta-

da wron spacerujących po trawniku. – Ja chcę takiego ptaszka!

– To są wrony, synku – wyjaśniła mama.

– To wybierz sobie jedną z nich – wpadł nagle na świetny pomysł tata. – Wymyśl dla niej imię i od tej pory to będzie twoja wrona. Tylko i wyłącznie twoja. Będziesz ją odwiedzał i przynosił jej ziarenka.

– Hania – ucieszył się Leo.

– Co? – nie zrozumiała mama.

– Nazwę ją Hania, bo jest taka czarna jak Hania z naszej grupy – objaśnił Leo. – Ale ona będzie moja własna? – upewniał się.

– Naturalnie.

– I będziemy do niej przychodzić?

– Oczywiście.

– Cześć, Haniu! – zawołał Leo. – Przyjdę do ciebie jutro i przyniosę ci coś do jedzenia. Tylko bądź grzeczna, bo jak nie, to nie dostaniesz deseru i będziesz stała w kącie.

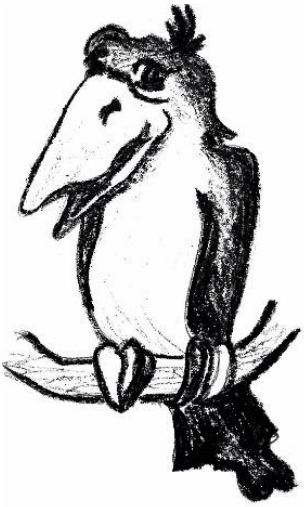

Od tej pory Leo miał już swoje zwierzątko. I czuł się szczęśliwy.

Dziki w mieście

Krystyna Dowgier–Malinowska

Była wiosna – ciepło, zielono. Gosia i Tonio wybrali się na spacerze. Szli wzdłuż Lasku Bródnowskiego, skręcili w ul. Kondratowicza. Tonio biegał, podskakiwał, ale Gosia miała go na oku.

Nagle Tonio zwrócił uwagę na ruch uliczny i zobaczył, że samochody zwolniły. Nawet taki, co to wyglądał jak leżący wieżowiec bez okien. Usłyszał: „pstryk, pstryk". *Pewnie mnie fotografują* – pomyślał. Przyjął pozę modela i wyprężył się.

Gosia pociągnęła go i przyśpieszyła kroku.

Tonio obejrzał się, zobaczył za sobą dwa wielkie i trzy średnie dziki. Zwierzęta spokojnie, nie zwracając uwagi na ludzi i szum aut, ryły trawnik przy ogrodzeniu osiedla.

Oboje z bezpiecznej odległości obserwowali, jak pewna siebie i nieskrępowana prze-

chodniami ani ruchem ulicznym dzicza rodzina poszukiwała żołędzi pod młodym dębem.

Nadjechał patrolowy samochód Straży Miejskiej. Pan strażnik ruchem ręki pośpieszał zwalniające samochody, z których wychylali się robiący zdjęcia ludzie. Pani strażniczka telefonicznie wezwała weterynarza i łowczych w celu wprowadzenia dzików do lasu. Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby dziki zaczęły przechodzić przez jezdnię.

Gosia i Tonio pobiegli do domu.

Rozemocjonowana dziewczynka opowiadała rodzicom o spotkaniu z dzikami. Tata zwrócił uwagę, że to dlatego, iż spacerowicze zostawiają w lesie resztki jedzenia, po prostu śmiecą. Potem dziki szukają koszy z odpadkami, a w nich jedzenia.

Tonio napił się wody, położył i przypomniał sobie spotkanie z dzikimi zwierzętami. Popatrzył jak tata prasuje Gosi bluzeczkę, mama szykuje kolację, a bobas w łóżeczku nie wrzeszczy, ale najedzony śpi. Wszystko pod kontrolą. Tonio przeciągnął się i rozłożył na posłaniu. Usnął. Nagle drgnął. Przyśniło mu się,

że jest z Gosią na spacerze w lesie i jej ucieka. Gosia woła go, żeby mu założyć smycz ze strachu, że pobiegnie za dzikami. To niebezpieczna sytuacja na terenie lasu – ostoi dzikich zwierząt, ich domu i terytorium.

Tonio obudził się na chwilkę. Tata skończył prasowanie, mama naszykowała już kolację. Tonio przeciągnął się, przypomniał sobie, że już wcześniej widział zryte przez dziki trawniki przy blokach, więc kontynuował drzemkę.

Po kilku dniach na spacerze z Toniem przy lesie, Gosia zauważyła ogłoszenia, że nie wolno karmić zwierząt. W Lasku Bródnowskim zainstalowano dużą klatkę na dziki ze specjalną karmą, żeby je zwabić i wywieźć daleko od miasta. Dalej nad kanałkiem, wzdłuż promenady, powieszono tablice z napisami, by nie karmić ptaków, to

znaczy kaczek i licznych tam gołębi.

Gosia już wiedziała, że dzikie zwierzęta poradzą sobie bez dokarmiania i nie będą zajmować miasta – mają swoje tereny. Ptakom można pomóc przeżyć, gdy jest sroga zima, jednak nie suchym chlebem, ale ziarnem lub specjalną karmą, którą można kupić w każdym supermarkecie. Dużymi zwierzętami leśnymi zimą opiekują się leśnicy.

Robot Felek

Krystyna Dowgier–Malinowska

Alek był zapalonym entuzjastą robotyki i programowania. Zaczynał od transformersów z klocków Lego. Potem budował pojazdy z silnikami sterowanymi falami radiowymi. Z czasem zapragnął zbudować robota. Spotkał Marka i Amelkę, których też fascynowała robotyka. Przy zgłębianiu tajników budowy (*hardware*) i opracowania programu sterowania (*software*) pomagał im tata. Podsuwał im lektury, proponował fora internetowe, jeździli też na pokazy.

Po trzech latach zbudowali robota, z którym brali udział, w konkursie Lego. Ich robot, Facet, zajął przedostatnie miejsce w biegu z przeszkodami. Ten fakt nie zniechęcił konstruktorów. Wręcz przeciwnie, zmotywował, żeby poświęcić więcej czasu na rozwój i udoskonalenia dwóch następnych robotów.

Alek marzył o zbudowaniu robota, z któ-

rym mógłby się komunikować. Projektowanie, *hardware* i *software* ze sterowaniem ze smartfona zajęło mu prawie rok. Wreszcie go zbudował.

Cieszył się z nowego kumpla, którego przezywał: „sztuczna inteligencja". Felek miał aż czternaście centymetrów wysokości, głowę nakrytą rogatywką z baterii słonecznej, potężny korpus z silnikiem i oprogramowaniem w środku, ręce i nogi. Alek wydawał Felkowi dyspozycje ze smartfona: *Idź prosto, w lewo, w prawo, stój.* Nie rozstawał się ze swoim dziełem prawie wcale.

Pewnego razu Alek z mamą pojechali po zakupy do centrum handlowego przy lasku. Felek rozglądał się po sklepie z kieszonki plecaka Alka. Szczególnie zainteresowały go kolory i kształty owoców i warzyw. Wychylił się z plecaka i wpadł między jabłka. Alek nie zauważył, że zgubił robota.

Felek zsunął się na gruszki. Widział przechodzących ludzi, pchających wózki z zakupami. I nagle blisko niego pojawiły się czyjeś ręce. Jakaś pani krzyknęła: „O, coś się rusza, może to mysz!". Felek nie był myszą – zrozu-

miał, że jest sam i w niebezpieczeństwie. Nieco osłabł, bateria się wyczerpywała. Stanął więc na szczycie skrzynek pod oświetleniem stoiska. Jego bateria słoneczna zaczęła pracować. Sztuczna inteligencja i instynkt samozachowawczy również.

Alek stanął przy stoisku z nabiałem, gdzie było chłodno, bo pracowały lodówki. Sięgnął do plecaka po bluzę i stwierdził, że Felek zniknął. Zaczął więc wracać tą samą drogą i szukać robota. Felka nie było ani na podłodze, ani pod skrzynkami. Chłopiec widział tylko wózki i różne spodnie, przeważnie dżinsy i migające nogi klientów, szybko przemierzających sklep. Zrezygnowany przypomniał sobie o nowej aplikacji w smartfonie – lokalizacji. Połączył się z Felkiem, złapał sygnał. Na ekranie smartfona pokazały się strzałki – prosto, potem w lewo i w prawo. Ruszył do Felka.

W tym momencie Alek i Felek usłyszeli komunikat: *Uwaga, uwaga, zaginął chłopiec o imieniu Alek. Mama czeka przy kasie numer jeden.*

Alek uświadomił sobie, że zapomniał, iż

miał trzymać się blisko mamy, ale przecież koniecznie chciał odnaleźć Felka. Strzałka na smartfonie zaczęła pulsować. Alek był przy warzywach. Rozejrzał się i zobaczył przyjaciela za kalafiorem, ale nie mógł go dosięgnąć. Felek bał się, lecz gdy poczuł wibrowanie wiedział już, że Alek jest blisko. Zjechał w dół po rabarbarze. Alek złapał go szybko i podłączył osłabionego do *powerbanka* – specjalnego akumulatorka.

Teraz już obaj spokojniejsi mieli następne wyzwanie – spotkać mamę. Alek widział tłum i popychane wózki. Felek doznał olśnienia.

– A–lek, idź za peł–nym wóz–kiem, bo pew–nie jed–zie do ka–sy – powiedział.

Alek odetchnął – sztuczna inteligencja działała. Szli za panem z wyładowanym wózkiem. Dobrze, że numery kas są wysoko i nie zasłaniają ich kupujący. Spotkali mamę przy kasie numer 1.

Następnego dnia mama potrzebowała koperek i natkę. Poszli na bazarek. Felek podróżował tym razem w kieszeni bluzy typu kangur. Trzymał się jej kurczowo. Wtem usłyszał grzmoty. Niebo było niebieskie.

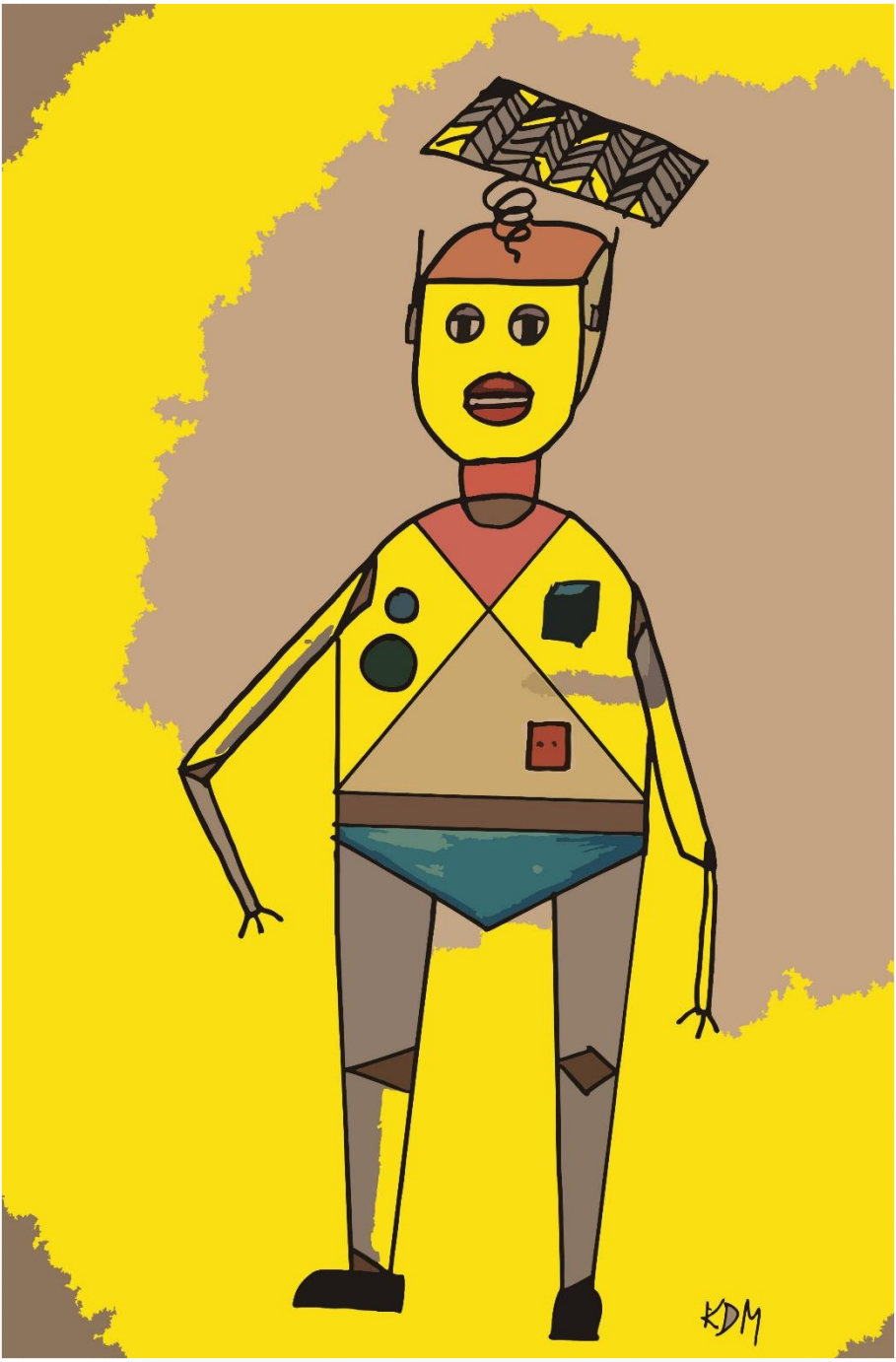
KDM

– Co to za bu–rza? – zapytał Felek.

– To na pewno odgłosy drążenia tunelu metra – powiedział Alek.

Felek przeczytał na tablicy intrygujące ogłoszenie.

„Roboty budowlane”

„Roboty transportowe”

„Roboty malarskie”

„Roboty instalacyjne”

– Al–ku, patrz są in–ne ro–bo–ty, za–poz–naj mnie z ni–mi – poprosił.

Alek uśmiechnął się. Sztuczna inteligencja nie wszystko rozumie.

– Felku wytłumaczę ci w domu. Opowiem też o budowie metra. Jutro przejedziemy się metrem na Stadion Narodowy na Targi Książki. Chcę ci kupić prezent – nowości o zaawansowanym oprogramowaniu.

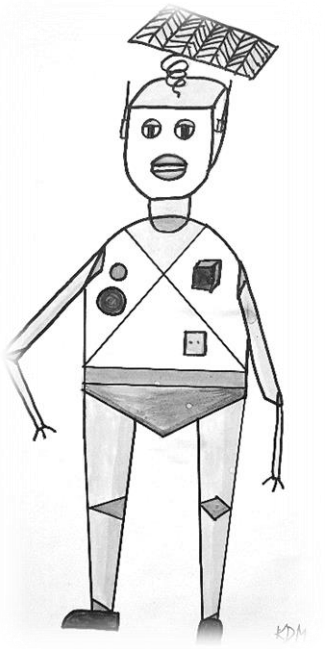

Lisek Chytrusek

Teresa Orzechowska–Krakówka
(Bajka według opowiadań mojego taty)

Czy to bajka? Czy nie bajka? Opowiastka z różnymi z bajek postaciami. Oceńcie to sami!

Z Parku Leśnego na Bródnie wychylił się lisek. Nudziło mu się bardzo i chciał znaleźć sobie towarzystwo do zabawy. Pobiegł dróżką wzdłuż Kanału Bródnowskiego, potem ulicą Fantazyjną na Targówek.

Na ogródkach działkowych przy ul. Plantowej zajrzał do znajdującej się na działce budy.

Nie ma w niej psa! No, bo piesek swobodnie po działkach gna.

Ujrzawszy lisa, pies zatrzymał się, bo dostrzegł na jego pysku smutek. Zapytał go kim jest i czy ma jakieś zmartwienie. Lisek zwał się Chytrusek, miał ogon puszysty i rudy. Odrzekł, że ma niewesołą minkę, bo nie ma

z kim się pobawić. Pies przedstawił się:

– Jestem Burek. Mam pomysł! Wskoczymy do pociągu i pojedziemy do Radości. Potem ruszymy na przechadzkę do Zbójnej Góry, gdzie lasy sosnowe są bujne i pachnące. Na przechadzkę jest nas już troje, bo w moim futerku gnieździ się Pchła Szachrajka.

Po dotarciu do Zbójnej Góry zaczęli się rozglądać za innymi zwierzętami – przyjaciółmi do dalszej wędrówki. Wtem z drzewa zamachała do nich rudą kitką wiewióreczka Basia i zawołała:

– Widzę z góry, że w pobliżu znajdują się zwierzątka, które pewnie chętnie się do was dołączą.

– Ale i ty, Basiu też się do nas przyłącz – rzekł Lisek Chytrusek.

Wiewiórka, skacząc z gałęzi na gałąź, znalazła się na trawie. Dostrzegła zza krzaka jałowca skradającego się kota w czerwonych butach. Kotek Mruczek chciał być z tą wesołą gromadką i żeby ich przekonać do siebie, opowiedział im przygody, które przeżył na Wyspach Bergamutach. Przeszli dalej do lasu leszczynowego i dojrzeli figlującego jelonka.

Bambi miał brązową sierść z beżowymi łatkami. I co rusz doskakiwał do jasnobrązowej sarenki. Za sarenką kroczył dumny ze swoich rogów jeleń. Gromada zwierząt wciąż się powiększała.

Wędrując dalej, spotkali dobrze wychowaną kwokę z kurczętami. Zaprosili ją na wspólny spacer, bo była przyjazna i nie traktowała innych zwierząt z wysoka – jak ta kura zielononóżka, która z grzędy wszystkich krytykowała. Zwierzęta podeszły pod górę do Stawu Rajcy, Rajsiakiem zwanym. Rozgościły się na brzegu stawu na zielonej trawce. Po stawie pływała kaczka, chyba trochę dziwaczka, bo na głowie miała czubek z kokardą. Ta Kaczka Dziwaczka drażniła dumnego białego łabędzia. A to była łabędzica Tekla, za którą płynęły trzy szare łabędziątka. Na łące nieopodal stawu tuptały dwa jeże z wbitymi w kolce liśćmi. A na drugim brzegu Rajsiaka, na zielonej polance pasły się: kary koń Maurycy, łaciata krowa Gertruda i pięć małych kózek. Kózki wskakiwały na pochyłe drzewo i zeskakiwały na łąkę. Dobrze, że żadna z nich nóżki nie złamała. Zwierzęta

spędziły ze sobą cały dzień i co dziwniejsze rozumiały się, były do siebie przyjaźnie nastawione i nie wszczynały kłótni.

To trochę inaczej niż obecnie wygląda to w życiu wśród ludzi. Trzeba wziąć przykład z tych przemiłych bajkowych zwierząt i przyjaźnić się z innymi, szanować ich i lubić, nawet, jeśli nie wyglądają tak samo jak my.

Pewne przysłowie mówi „człowiek człowiekowi wilkiem". A powinien być przyjacielem, dobrym człowiekiem i łagodnym jak baranek. Ale jednocześnie nie dać się wykorzystywać złym ludziom.

No i co – jest to bajka? Czy nie bajka?

Ilustrację do bajki wykonała wnuczka mojego Taty

Moja gromadka

Janina Frankowska
przepisywała: Krystyna Adamska

Na imię mam Tosia. Jestem małą dziewczynką i mam siedem lat. Chodzę do szkoły, do pierwszej klasy. Mieszkam z mamą i tatą w pięknym domu, niedaleko lasu Bródnowskiego. Dom mój otacza rozległy ogród. Rośnie w nim dużo drzew i kwiatów. Mnie najbardziej podobają się krzaki pełne czerwonych róż, które podziwiam, biegając alejkami. Gdy się zmęczę, odpoczywam na ławeczce. Jeśli mam ochotę, bawię się na moim placyku zabaw.

Dzisiaj jest sobota, dzień wolny od szkoły. Myślałam, że pośpię sobie trochę dłużej, a potem spędzę miło czas w moim ogrodzie. Jednak wcześnie rano obudziło mnie słońce zaglądające przez okno mojego pokoju. Mrugało do mnie swymi złocistymi promieniami. Wstałam więc, ubrałam się i wyszłam na mój

ganek. Przed drzwiami zobaczyłam ślicznego puchatego psa, który siedział w trawie i patrzył na mnie swymi brązowymi oczami, jakby chciał mi powiedzieć, że nie chce już nigdzie iść, że chciałby zostać ze mną. Wzruszyłam się ogromnie i pogłaskałam go, a on przytulił się do mnie, radośnie, cichutko poszczekując. Nadałam mu imię Fafik i przykazałam, żeby był grzeczny i nie dokazywał. Piesek, zadowolony, merdając puszystym ogonkiem, pobiegł do ogrodu. Pobawił się na moim placyku zabaw, poskakał po alejkach, obwąchał wszystkie roślinki. Aż między krzakami róż znalazł małego zajączka.

Zajączek siedział na ziemi i płakał bardzo, bo bolała go łapka. Fafikowi żal zrobiło się zajączka. Chciałby mu pomóc, ale nie wiedział jak. Przybiegł więc do mnie i zaprowadził mnie do znaleziska. Obejrzałam łapkę malucha i znalazłam tkwiący w niej kolec róży. Wyjęłam go, a zajączek poczuł ulgę, ale nie przestał szlochać. Płakał, bo tęsknił bardzo za swoją mamą, która pokicała nad Kanałek Bródnowski i długo nie wracała. Piesek, nie namyślając się, ruszył na poszukiwania.

Szukał wszędzie mamy zajączka, aż wreszcie ją znalazł. Zajęczyca jednak zlękła się psa i wpadła do wody. Kanałek nie był głęboki, ale zbocze miał strome, więc nie dała rady wdrapać się na brzeg. Fafik skoczył do wody, by ją ratować. Dzielnie do niej podpłynął. Pani Zajączkowa domyśliła się, że niepotrzebnie się go bała. Wyciągnęła więc do niego swe łapki, wdzięczną mu będąc, że przybył jej z pomocą. Wdrapali się razem na brzeg. Mały zajączek, który biegł za Fafikiem, właśnie przybył na miejsce i czekał już niecierpliwie na swoją mamę.

Zajęczyca chwyciła synka w ramiona. Ona i jej wybawiciel byli mokrzy, ale szczęśliwi. Zaprzyjaźnieni ze sobą wrócili wszyscy do mnie.

Teraz zamiast jednego psa w ogródku mam jeszcze dwa zajączki.

Moja przygoda w świecie baśni

Janina Frankowska
przepisywała: Krystyna Adamska

Dziś przyszła do mojej klasy nowa uczennica, śliczna czarnowłosa dziewczynka. Pani wychowawczyni posadziła ją przy mnie.

– Jak masz na imię? – spytałam.

Spojrzała na mnie swymi czarnymi oczami i uśmiechnęła się tajemniczo.

– Na imię mam Milena i jestem wróżką. Przybyłam tu z krainy baśni specjalnie do ciebie. Jeśli będziesz chciała, możesz się tam ze mną wybrać. Musimy tylko przejść przez lustro. Ja wiem, jak to zrobić.

Byłam zdumiona i zachwycona. Oczywiście, że chciałam. Marzyłam o tym. Wróciłam do domu i o niczym innym nie myślałam. Czekałam na Milenę. Nie spodziewałam się tylko, że pojawi się ona tak szybko. Miała przecież jeszcze coś załatwić przed przyjściem do mnie.

– Ubierz się ciepło – przykazała mi – bo pójdziemy do krainy śniegu i mrozu. – W ręku trzymała wiklinowy koszyk.

– Co przyniosłaś w tym koszyku? – zapytałam.

– To na razie mój sekret, bądź cierpliwa. Pokażę ci później, we właściwym czasie. – Uśmiechnęła się do mnie tajemniczo.

Założyłam więc kurtkę, czapkę, szalik i rękawiczki. Po chwili byłam już gotowa. Bardzo chciałam iść z Mileną, jednak trochę się bałam. Nie wiedziałam, co dokładnie trzeba zrobić, żeby dostać się do baśni. Nie wiedziałam też, co mnie tam spotka.

– Nic się martw i nie lękaj się – uspokoiła mnie Milena.

Podeszłyśmy do dużego lustra w przedpokoju. Milena delikatnie musnęła ręką gładką taflę i nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, znalazłyśmy się w pięknej, lecz mroźnej krainie. Wszędzie rozpościerały się śnieżne zaspy. Wszystkie ulice i domy zasypał biały puch. Śnieg skrzypiał pod nogami i bił w oczy silnym blaskiem. Rozejrzałam się dookoła, ale nikogo nie zobaczyłam. Było pu-

sto i cicho. Spojrzałam na moją przewodniczkę bardzo zdziwiona, z niemym zapytaniem w oczach.

– Posłuchaj mnie uważnie – zaczęła swą opowieść moja czarodziejska koleżanka. – Jesteśmy w królestwie opanowanym przez władczynię śniegu i mrozu. Kiedyś wszyscy mieszkańcy byli tu weseli i szczęśliwi. W olbrzymim pałacu mieszkała razem z królem i królową ich córka, piękna księżniczka Izabela. Pewnego dnia jej ulubiony pies Ariel gonił zająca i długo nie wracał. Zaniepokojona księżniczka poszła go szukać. Im bardziej wgłębiała się w gąszcz leśnych drzew, robiło się coraz zimniej. Nagle pojawiła się przed nią Śnieżna Olbrzymka i uniosła ją do swojej lodowej jaskini. Od tamtej pory w całym królestwie zapanował mróz i nie przestawał padać śnieg, a wszyscy ludzie zostali uśpieni. I tu zaczyna się nasza misja uratowania księżniczki, jej psa i całego królestwa spod mocy mroźnej władczyni – powiedziała Milena.

Aż zaniemówiłam z wrażenia. W końcu jednak odzyskałam głos i zapytałam ją, co mamy zrobić, na czym polega nasze zadanie?

– Ja jestem wróżką i przyjaciółką Izabeli – zaczęła wyjaśniać mi Milena. – Śnieżna Olbrzymka, w zamian za uwolnienie wszystkich z okowów mrozu, zażądała pysznych poziomek, które rosną tylko w twojej krainie, po twojej stronie lustra. Przedostałam się więc do twojej klasy. Zanim przyszłam do twojego mieszkania, poszłam do lasu i nazbierałam pełen koszyk czerwonych poziomek. Zobacz, mam go tu ze sobą. Daję ci go, a ty wręczysz owoce śnieżnej władczyni. To był jej warunek: aby poziomki przyniosła jej dziewczynka z twojej krainy.

Moje oczy zrobiły się tak wielkie, że o mało nie wyszły mi z orbit. Z wrażenia klapnęłam w zaspę.

– Nic się nie bój – uspokoiła mnie wróżka Milena i pomogła mi wstać. – Pójdziemy tam razem, ze mną będziesz bezpieczna.

Zgodziłam się, bo czy miałam inne wyjście? Pomyślałam sobie, że nie. W końcu jak się tak głębiej zastanowić, to mogę być dumna z tego, że ratuję z mocy złej władczyni księżniczkę, króla, królową, psa Ariela i całe królestwo.

Nie było na co czekać. Ruszyłyśmy więc w drogę. Szłyśmy bardzo długo, aż w końcu dotarłyśmy na miejsce. Śnieżna Olbrzymka czekała już na nas bardzo niecierpliwie. Gdy tylko zobaczyła mnie i koszyk z poziomkami, aż rozpłakała się z radości.

Łzy jej stawały się coraz bardziej ciepłe ze wzruszenia, że taka mała, dzielna dziewczynka przyszła do niej i przyniosła jej poziomki. Płakała i płakała, dopóki łzy nie rozpuściły śniegu i lodu, i nie spłynęły wraz z nimi do doliny. Utworzyło się tam wielkie jezioro, nad którym rosły piękne czerwone kwiaty. Gdy zjadła wszystkie poziomki, wypuściła z jaskini księżniczkę Izabelę i jej psa Ariela. Po chwili odeszła do swego lodowego państwa daleko na północ.

A w całym królestwie zrobiło się znowu ciepło i zielono. Wszyscy mieszkańcy, król i królowa obudzili się z uśpienia i znów byli szczęśliwi.

Wróżka Milena przyprowadziła mnie z powrotem do mojego domu, a ja rozejrzałam się wokoło i zobaczyłam, że wszędzie jest biało.

– Znów czary jakieś – pomyślałam.

To nie były już jednak żadne czary. Po prostu, siedziałam we własnym łóżku w białej pościeli. Obudziłam się właśnie, a wszystko, co mnie spotkało, wydarzyło się w moim śnie. Za oknem widać było budynek mojej szkoły podstawowej i bazarek przy Trockiej, na którym z rodzicami codziennie robimy zakupy.

Do pokoju weszła moja mama. Pocałowała mnie na dzień dobry.

– Wstawaj, córeczko – powiedziała do mnie. – Trzeba się ubrać, zjeść śniadanie i iść do szkoły.

– Czemu nie – pomyślałam sobie. – Pójdę bardzo chętnie, a wieczorem, gdy odrobię lekcję, wykąpię się i położę spać. Może znów przyśni mi się jakaś wspaniała przygoda.

Mysia Pysia

Magdalena Salmanowicz z córką Anią

W pewnym mieście, na pewnej ulicy mieszkała dziewczynka o imieniu Pola.

Pola miała dziesięć lat i chodziła do trzeciej klasy. Miała długie, jasne włosy i niebieskie oczy, a na nosie dużo ślicznych piegów. Czasami dzieci trochę się śmiały, że ma kropki na nosie albo że opalała się przez sitko. Ale ona się tym nie przejmowała.

Dziewczynka od dawna marzyła o zwierzątku, którym mogłaby się opiekować i dbać o nie, ale mama mówiła, że przyjdzie na to czas. I tak się też stało.

Był piękny, słoneczny dzień, gdy Pola wraz z mamą wybrały się na spacer do pobliskiego parku, a było to na Bródnie. Wczesną wiosną w Parku Bródnowskim jest tak pięknie! Przyroda budzi się do życia, rozkwitają forsycje, pojawiają się pąki na drzewach. Trawa jest taka młoda i zieloniutka.

Pola bawiła się na placu zabaw i biegała koło krzewów forsycji, gdy nagle usłyszała jakiś szelest. Po chwili zauważyła, że coś się poruszyło. Szybko zawołała mamę i powiedziała:

– Mamusiu, coś rusza się w krzakach – i wskazała to miejsce.

Zaciekawiona mama podbiegła do córki, by przekonać się, co też to może być… Może kot, może jeż, a może…?

Ku ich zdziwieniu okazało się, że była to mała, polna MYSZKA. Mama i Pola nie bały się myszy, więc poczęstowały ją okruszkami chleba. Nie trzeba było długo czekać, aby myszka o bardzo miłym wyglądzie w podskokach przybiegła do nich. Chyba była głodna, bo szybko chwyciła okruszki i je zjadła.

Zbliżał się wieczór i słońce chowało się za drzewami. Pola z mamą chciały już wracać do domu, ale dziewczynka nie mogła rozstać się z myszką, a też myszka nie chciała od nich odejść.

W końcu dziewczynka pożegnała się ze swoją nową przyjaciółką. Zwierzątko jednak nadal za nimi szło.

Pola zagadnęła mamę:

– Mamusiu, zobacz myszka idzie za nami. Czy możemy ją zabrać do domu? Będę się nią opiekować.

Mama zdziwiła się pomysłem córki i odpowiedziała:

– Tutaj jest jej dom.

Pola posmutniała, ponieważ bardzo lubiła zwierzęta.

W drodze do domu dziewczynka chciała jeszcze popatrzeć z bliska na rosnące w trawie kwiatki i gdy przykucnęła wśród nich, znalazła czterolistną koniczynę. W tym czasie mała myszka skorzystała z okazji i wskoczyła jej do kieszonki.

– Mamusiu, zobacz, spotka nas jakieś szczęście! – zawołała Pola, pokazując zielone listki maleńkiej rośliny.

Mama uśmiechnęła się do córki.

– Ja to bym chciała mieć jakieś zwierzątko, bardzo, bardzo! – wołała dziewczynka.

– Wiem, kochanie, ja też – dodała mama.

Wróciły do domu i opowiedziały tacie o swojej przygodzie. Jakie było ich zdziwienie, gdy z kieszonki sukienki Poli wyskoczyła na

podłogę ta sama, mała myszka.

– Czy to jest wasze zwierzątko? – spytał zdziwiony tata.

– Co ona tu robi? Jak się tu dostała? – nie wierzyły dziewczyny.

– Wyskoczyła z kieszeni i jest u nas – podsumował tata.

– Widzisz mamusiu, ona chce być z nami, czy może u nas zostać? Proszę, będę się o nią troszczyć! – zawołała z radością dziewczynka.

Po chwili namysłu rodzice zgodzili się, by myszka u nich została. Wiedzieli bowiem, że ich córka jest bardzo opiekuńcza.

Tata zrobił z pudełka po butach domek dla myszki, a Pola i mama naszykowały dla niej posłanie ze starego, mięciutkiego, polarowego szalika w szkocką kratkę i poidełko na wodę z nakrętki od butelki.

Dziewczynka nazwała myszkę Pysia, gdyż miała taki miły i „słodki" pyszczek.

Od tej pory Pola i Pysia były nierozłączne i wszędzie chodziły razem. Pysia była taka malutka, że mieściła się w kieszeni i dlatego mogła podróżować z dziewczynką po Targówku.

Razem jeździły na hulajnodze i na rolkach, i razem odrabiały lekcje.

Szkoda tylko, że Pola nie mogła jej zabierać do szkoły. To by dopiero była zabawa!

– Widzisz, mamo, spełniło się moje marzenie, mam już zwierzątko. To chyba dlatego, że znalazłam tę czterolistną koniczynę.

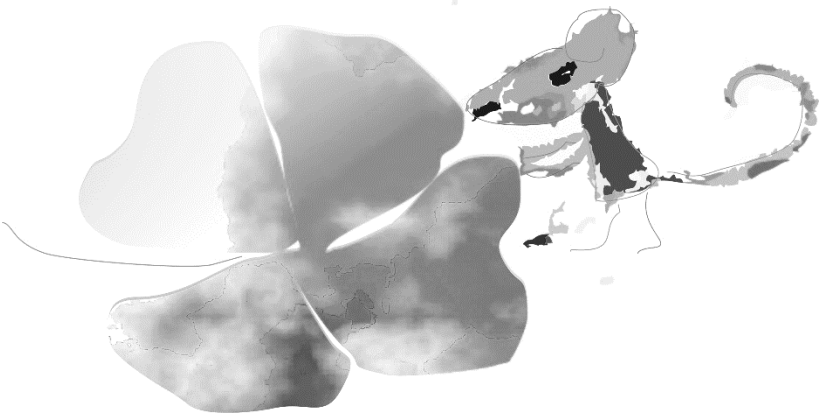

O Haneczce, co pokochała krety

Agnieszka Pogorzelska

– Krety są po... po... no, głupie – powiedziała Haneczka, wchodząc do domu.

– Kto tak powiedział?

– Dziadek, bo żadnego z nich pożytku nie ma i tylko te kretowiska pozostawiają, a dziadek ma z nimi kłopot.

Kretowiska co prawda nie były jedynym problemem, z jakimi borykał się dziadek Haneczki na swojej działce, ale w tym roku kretowiska pojawiały się dosłownie co kilka kroków. Dziadek mówił, że te ślepe szkodniki są niewiele warte i że trzeba się ich jak najszybciej pozbyć. Haneczka nie wiedziała, w jaki sposób. Pamiętała za to bajkę o Calineczce, toteż krety nigdy się jej dobrze nie kojarzyły. Takie jakieś myszowate i czarne, i te ryjki... Fuj. No i trzeba coś z nimi zrobić, bo podkopały jej, Haneczki, ulubiony krzak malin. Ależ się Haneczka zdenerwowała. Tak się nie

robi! Mógł sobie przecież ten kret ryć obok, a malinki mógł zostawić.

Na niewiele się zdała także maskotka, jaką Haneczka dostała, gdy odwiedziła stację metra *Trocka*. Wtedy to mogła również zobaczyć olbrzymią machinę, która drąży tunele metra. Panowie na budowie powiedzieli, że jej praca przypomina pracę kreta: maszyna drąży tunel pod ziemią, a piasek wyrzuca na powierzchnię. Na budowie wszystko wygląda ładnie, bo są specjalne spychacze i koparki,

które ładują taką ziemię na samochody i wywożą, choć nikt nie wie dokąd. Krety tak nie robią, tylko wyrzucają ziemię na powierzchnię. Maszyna drąży tunele, żeby mogły nimi jeździć pociągi metra, ale po co krety drążą te swoje drogi pod ziemią? Na to pytanie Haneczka nie znalazła odpowiedzi, bo panowie powiedzieli jej jedynie, że kret tak robi, bo żyje pod ziemią.

Pomoc przyszła ze strony babci, która postanowiła nie dopuścić do tego, aby dziadek pozbył się szkodników. Haneczka dopytywała, dlaczego na to nie pozwala. Babcia powiedziała, że wszystkie zwierzęta, nawet myszy czy szczury, mają jakieś zadanie do wykonania w przyrodzie. Krety też. One kopią swoje tunele, aby dotrzeć do różnych chrząszczy i niewielkich gryzoni, które niszczą korzonki roślin. To prawda, że krety nie widzą, ale aby dotrzeć do ukrytej dżdżownicy, larwy czy myszy nie są im potrzebne oczy, a doskonały słuch.

Niezbyt piękne łapki działają trochę jak machina na budowie metra. Pozwalają zwierzątku szybko rozgarniać ziemię wyrzucając

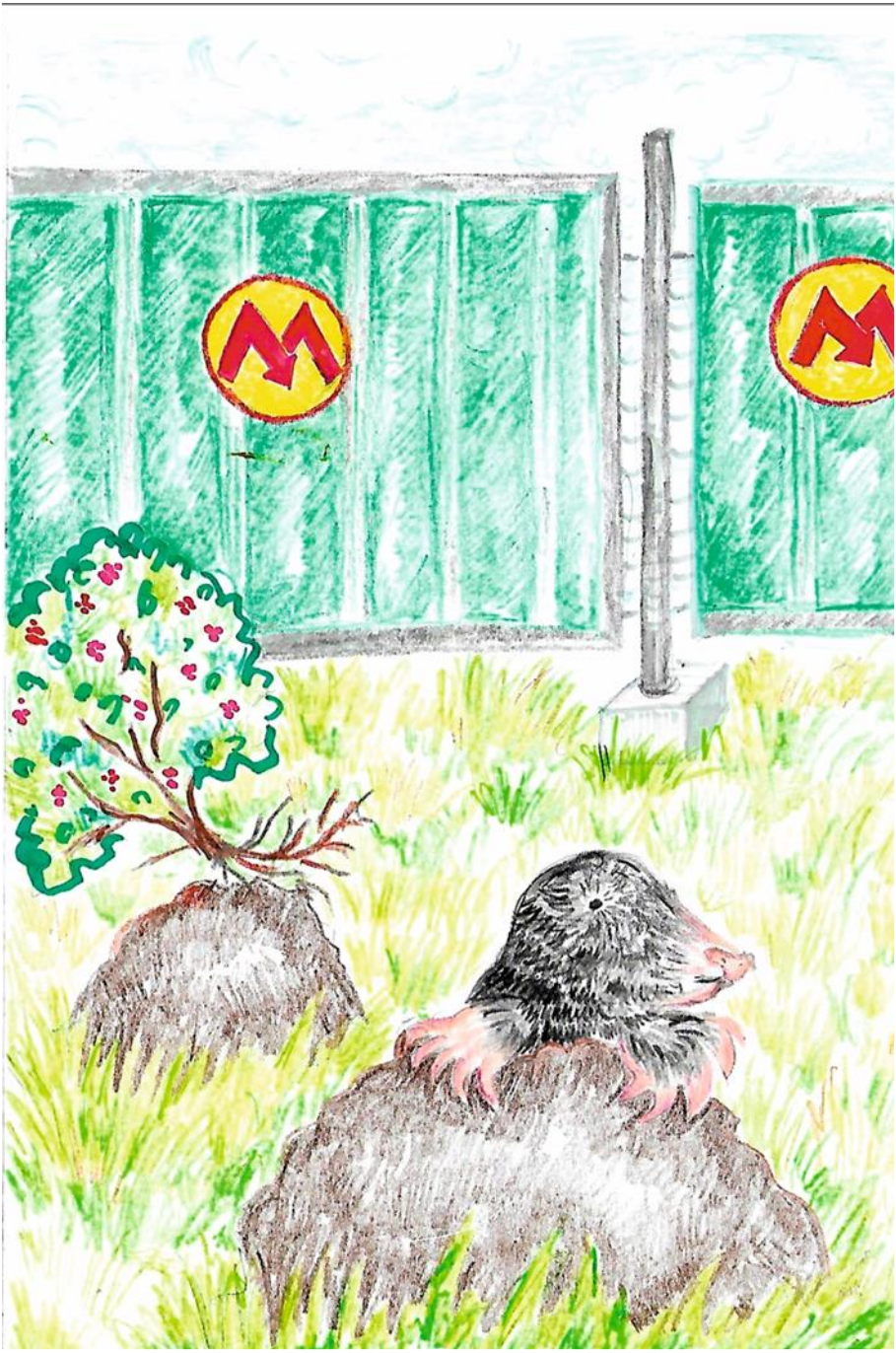

ją na powierzchnię. Stąd te foremne kopczyki, które tak denerwują dziadka. Gdyby kret jej nie wysypywał, to prędko by się udusił. Jego praca ma jeszcze jedną zaletę – kret buszując wśród korzonków spulchnia ziemię, dlatego rośliny mogą lepiej rosnąć, choć czasem się zdarza, że niektóre z nich będą wykopane jak ten krzak malin.

– W sumie za rok też mogą być maliny, dziadek pewnie posadzi nowe, jeśli go poproszę. Ale taki kret to pewnie nie poradziłby sobie z zasadzkami dziadka. I nieszczęście gotowe. Nie, nie mogę do tego dopuścić – powiedziała dziewczynka i tak bardzo prosiła dziadka, tak ładnie się do niego uśmiechała i obiecała pomagać w zabieraniu ziemi z kretowisk, aż dziadek przyrzekł, że nic kretom nie zrobi.

A i krety też jakby się nieco uspokoiły i przestały tak mocno kopać w pięknym ogrodzie dziadka.

Haneczka co prawda słyszała, że sąsiad narzekał na krety, ale to nie mogły być jej krety. Jej krety były grzeczne.

Samochodowo,
czyli burza w Piaskowym Miasteczku

Katarzyna Nowak

Za górami, za lasami, mieszkał Antek z samochodami…

A właściwie to mieszkał wśród wysokich bloków na warszawskim Targówku. W pewien piękny, letni dzień wybrał się z rodzicami na pobliski plac zabaw, zabierając ze sobą kilka ulubionych samochodów, którymi chętnie bawił się w piaskownicy. Na placyku były już inne dzieci z sąsiednich bloków. Początkowo bawiły się osobno, ale z ciekawością zerkały na zabawki kolegów. W tym czasie rodzice wspominali burzę, która niedawno przeszła nad Targówkiem. Słysząc to, Antek wpadł na pomysł, żeby z kolegami urządzić podobną burzę w piaskownicy. Pomysł wszystkim się spodobał.

Antek, Adaś i Grześ zbudowali z piasku domy i garaże, ulice zaznaczyli żwirkiem,

a miejsce, gdzie powinien być park, wysypali listkami i trawą. Wymyślili nawet latarnie uliczne, które powstały z cienkich patyczków! Tata Helenki przyniósł w wiaderku wodę, z której dzieci mogły zrobić duuuży deszcz. Każdy z pojazdów znalazł najlepsze dla siebie miejsce w Piaskowym Miasteczku i rozpoczęła się zabawa.

Samochodziki robiły wyścigi na specjalnie zbudowanym torze, jeździły na zakupy i do warsztatu, a autobus Staś woził pasażerów, których udawały kamyczki. Był też plac budowy, na którym pracował dźwig Dziadek i ciężarówka Ciężarek. Dzieci z zapałem wylewały konewkami wodę na piaskownicę, tworząc prawdziwą ulewę. A żeby uwiarygodnić przygodę posypały piaskownicę liśćmi i połamanymi gałązkami – przecież w czasie prawdziwej burzy wicher często sprawia podobne szkody.

Mieszkańcy Piaskowego Miasteczka byli bardzo zaskoczeni, kiedy ich oczom i reflektorom ukazał się ogrom zniszczeń. Wszędzie było pełno patyków i potarganych traw, a zalane ulice okazały się nieprzejezdne. Na głów-

nym miejskim placu powstała olbrzymia kałuża, tak wielka, że najmniejszym samochodzikom – Pikusiowi i Franusiowi – woda wlewała się przez okna.

Co tu robić?! Samochody zwołały zebranie i zaczęły radzić, jak oczyścić miasto i przywrócić normalny ruch.

– Dlaczeeeego mamy coś roooobić? – zapytała flegmatycznie największa limuzyna, znana z tego, że nie lubi się przemęczać – Wystaaaarczy przeczeeeekać, wooooda w końcu spłyyyynie…..

– Nie możemy czekać! Musimy działać! – zaczęły przekrzykiwać się najmniejsze samochodziki, które miały największe kłopoty w poruszaniu się po zalanym mieście – Musimy jechać do szkoły! I odebrać pocztę! I zrobić zakupy! I odwiedzić chorego kolegę!

Pikuś i Franuś miały mnóstwo planów, ale każdy z nich wymagał przejazdu przez centralny plac, który był całkowicie zalany i nie było możliwości przedostania się na drugi koniec Piaskowego Miasteczka. Najstarszym i najmądrzejszym pojazdem w mieście był wielki autobus Staś. Do niego właśnie zwró-

ciły się o pomoc małe samochodziki.

– Stasiu, ty na pewno wiesz co robić. Nie możemy czekać, aż woda sama spłynie z ulic. Wymyśl, prosimy, jakiś sposób, żeby nasze miasteczko było znów przejezdne – błagały maluchy.

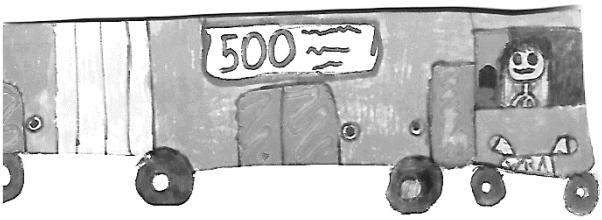

Autobus błysnął światłami, zapiszczał klaksonem, zaskrzypiał drzwiami i zamyślił się głęboko. Trwało to dłuższą chwilę i pasażerowie zaczynali się już niecierpliwić – każdy miał przecież swoje sprawy do załatwienia. Wreszcie Staś zabuczał silnikiem na znak, że wpadł na pewien pomysł.

– Już wiem! Trzeba poprosić Ciężarka i Dziadka o pomoc w zasypaniu kałuż w mieście! Są najwięksi i najsilniejsi, na pewno sobie poradzą!

Pikuś i Franuś udały się więc do Ciężarka i Dziadka, i grzecznie wyjaśniły na czym polega problem.

– Na ulicach było dużo dziur. Po tej burzy

utworzyły się w nich kałuże, a na głównym placu jest teraz najwięcej wody, bo spływa z pobliskich garaży. Prosimy was o pomoc! Tylko wy dwaj, pracując razem, możecie przywrócić w mieście normalny ruch!

Ciężarek i Dziadek popatrzyli na siebie, chwilę pomyśleli i ruszyli do pracy. Najpierw pojechali na plac budowy, gdzie Dziadek załadował duże kamienie, piasek i żwir na Ciężarka, a sam zabrał jeszcze kilka desek. Z materiałami udali się w kierunku Centrum i zalanego placu. Na miejscu zapoznali się z sytuacją i opracowali plan działań. Niezbędna okazała się koparka, gdyż trzeba było wykopać kanał tak, by woda z placu spłynęła do pobliskiej rzeki. Ale koparka przebywała w innym mieście i zajęłoby jej sporo czasu dotarcie do Piaskowego Miasteczka. Tym razem pomocny okazał się Antek, który dzielnie udawał samolot transportowy i szybko przywiózł potrzebny sprzęt. Koparka Krysia raźnie wzięła się do pracy i szybciutko wykopała potrzebny kanał. Dziadek umocnił brzegi kanału przywiezionymi deskami i woda stopniowa spłynęła. Na środek placu powolutku

wyjechał Ciężarek. Jego duże koła nie bały się błota i pozostawionego przez wodę szlamu. Ostrożnie wysypał przywiezione materiały i zaczął rozgarniać je na wszystkie strony. Żwirek i piasek utwardził przywiezionymi kamieniami i jeszcze raz przejechał, dokładnie wyrównując powierzchnię. Resztki wody wsiąkły w podłoże, kamyki ułożyły się równo i plac miejski zyskał nowy wygląd. Małe samochody poradziły sobie zaś z gałęziami i liśćmi.

Piaskowe Miasteczko znów lśniło czystością i porządkiem!

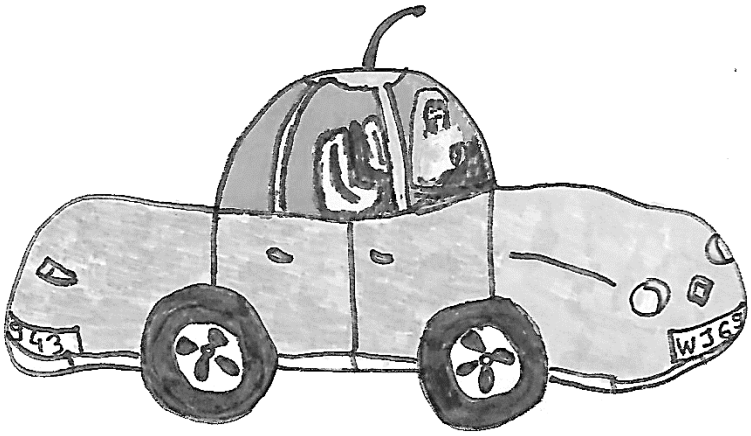

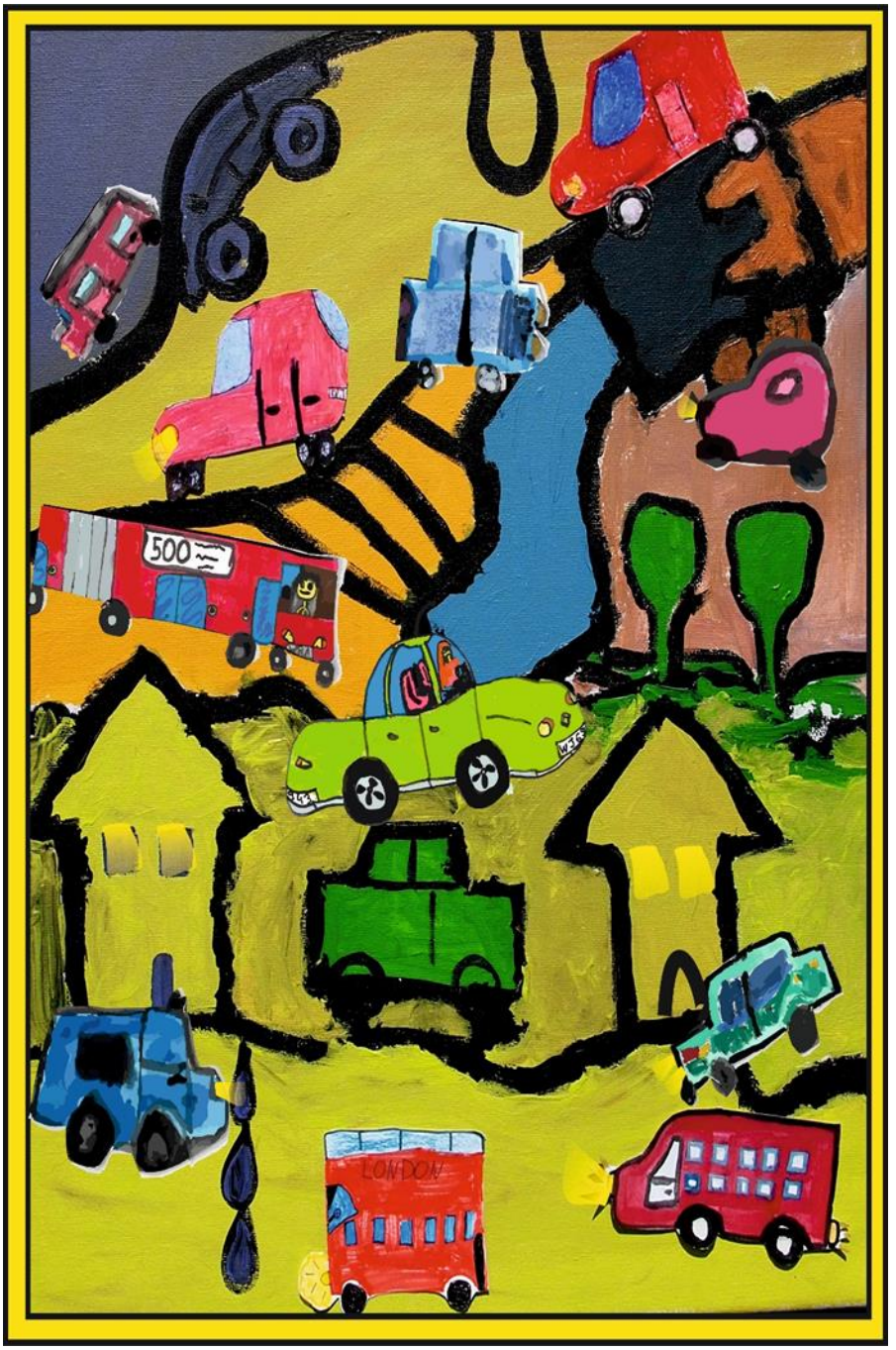
500
LONDON

Pikuś i Franuś z całych sił dziękowali Ciężarkowi i Dziadkowi za pomoc i w rewanżu zaprosili ich na kanister najlepszego oleju, jaki znaleźli, a wszystkie samochody cieszyły się, że tak szybko i sprawnie uporały się ze skutkami letniej burzy.

Antek był dumny ze swoich zabawek, że tak sprytnie rozwiązały problemy, których im przysporzył z kolegami. Patrzył z zadowoleniem, jak pojazdy współpracowały, pomagając sobie wzajemnie; miały okazję przekonać się, że więcej i szybciej można zyskać, współpracując niż działając samotnie. Cieszył się także z obecności innych dzieci. Bez nich zabawa nie byłaby tak udana.

Wracając do domu późnym popołudniem, gromadka dzieci planowała przygody, jakie spotkają ich zabawki przy kolejnej wizycie na placu zabaw.

Bo wyobraźnia to przecież tak wielka siła, a wspólna zabawa jest znacznie ciekawsza od samotnego przesiadywania w domu.

Rodzina pingwinów

Janina Frankowska
Przepisywała: Krystyna Adamska

Mały Grześ zachorował i leżał w łóżeczku. Pan doktor powiedział, że jeżeli będzie grzecznie zażywał lekarstwa, szybko wyzdrowieje i będzie mógł znów wyjść na spacer. Grześ łykał więc sumiennie zapisane przez doktora tabletki i pił syropki. Jednakże, mimo że mama się z nim bawiła, czytała mu bajeczki, wymyślała różne ciekawe zajęcia, czas dłużył mu się bardzo. Chciałby już nie musieć leżeć w łóżeczku.

Któregoś dnia dostał od mamy bardzo ładnie ilustrowaną bajeczkę, która mu się niezwykle spodobała. W pewnej chwili oderwał oczy od obrazków i zadumał się. Pomyślał, że chciałby, tak jak chłopiec z bajki, wędrować po świecie i oglądać różne ciekawe miejsca.

Wyobraził sobie, że wznosi się w górę i szybuje ponad swoim dywanem, nad blokiem

w którym mieszkał, nad parkiem z pięknym teatrem, nad przedszkolem i kanałkiem, nad którym zimą karmił z mamą dzikie kaczki. Szybował nad miastami, wioskami i oglądał interesujące krainy. W pewnej chwili, tuż przy oknie, ujrzał wróżkę z czarodziejską różdżką w dłoni. Stała w blasku wpadającego przez okno słońca i uśmiechała się do Grzesia. Na pięknej sukni miała zwiewną narzutkę. Wyciągnęła do chłopca ręce, a on już wiedział, że znajduje się w krainie baśni. Podbiegł do wróżki i schował się pod jej pelerynkę. Razem unieśli się w górę. Wsiedli do zaczarowanej karety ciągniętej przez dwa piękne rumaki. Lecieli długo pośród białych chmur, aż znaleźli się w śnieżnej krainie.

Wylądowali na lodowej polance. Gdy wysiedli, Grześ zobaczył stadko biało-czarnych pingwinów. Była to cała rodzina: dorosłe i młode ptaki. Maluchy baraszkowały na śniegu. Przytuliły się do chłopca i zapraszały do zabawy, machając małymi, puszystymi skrzydełkami. Mamy pingwinków uznały jednak, że właśnie nadszedł czas na naukę pływania. Skierowały więc swoje dzieci do morza

i same wskoczyły do wody. Pisklęta kolejno ześlizgiwały się za nimi. Nauka to ważna rzecz, a mamy trzeba słuchać. Na początku szło im dość niezdarnie, ale w miarę upływu czasu radziły sobie coraz sprawniej.

Nagle w oddali, tuż nad falami pojawiła się ostra płetwa rekina, który szybko zbliżał się do brzegu. Szykował się do ataku na pingwiniątka. Mamy szybko zagoniły swoje dzieci do brzegu i wraz z nimi sprawnie wyskakiwały z wody. Niestety, jedno maleństwo zsunęło się znów do morza. Jego mama natychmiast wskoczyła pomiędzy fale, aby je ratować. Podsadziła malucha na brzeg, ale sama tak osłabła, że nie miała już siły z wody wyskoczyć. Rekin był już całkiem blisko i otworzył swoją zębatą paszczę, aby ją złapać. Jakie to szczęście, że w pobliżu była wróżka, która swą różdżkę skierowała w stronę drapieżnika. Strumień gorących iskier wystraszył rekina, który skuliwszy się, umknął w głąb morza. Pingwinia mama odpocząwszy nieco, wydostała się na brzeg do swojego popiskującego smutno pingwiniątka. Grześ z podziwem spojrzał na wróżkę. Ona zaś uśmiechnęła się

do niego, okryła swą peleryną i powiedziała, że czas wracać.

Pożegnali się z rodzinką pingwinów, wsiedli do zaczarowanej karocy i poszybowali z powrotem do pokoju Grzesia. Chłopiec długo jeszcze miał przed oczami wszystkie miejsca, które oglądał w czasie podróży z wróżką oraz rodzinę pingwinów w lodowej krainie. I właśnie wtedy do pokoju weszła mama. Powiedziała, że to już ostatni dzień brania lekarstw i będzie mógł już wstać z łóżka. Grześ opowiedział jej o swojej przygodzie, a mama obiecała, ze niedługo wybiorą się razem z tatą w daleką podróż. „Może dookoła świata" – zamarzył Grześ.

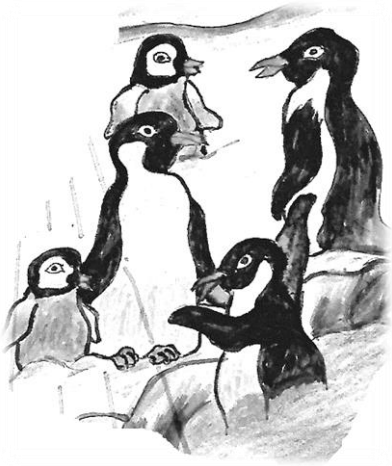

Uszczęśliwiony uściskał mamę i grzecznie połknął ostatnią porcję lekarstw.

Bo mamy przecież trzeba słuchać.

O Krzysiu i wodnym mieście

Agnieszka Pogorzelska

Krzyś uwielbiał podróżować metrem. Jeśli tylko mógł, prosił tatę, aby pojechać pod ziemią do babci, a z mamą chętnie jeździł po zakupy. Bo w metrze było coś takiego... coś... tajemniczego. Te wszystkie tunele, światełka, które się zapalają jedynie wtedy, gdy jedzie pociąg i te wszystkie semafory, i inne bajery, żeby dwa pociągi się nie zderzyły. To było coś! Krzyś nawet przez chwilę myślał, żeby zostać takim maszynistą, jednak wolał szukać skarbów. Bo skarby to złoto i pieniądze, a te są zawsze potrzebne. „Gdybym jeszcze mógł taki skarb odkryć jadąc metrem, to już w ogóle" – myślał sobie.

Tatuś Krzysia często mu opowiadał tajemnicze historie. Mówił o rycerzach i o smokach, o księżniczkach również, ale przecież wiadomo, że o dziewczynach żaden porządny chłopak nie chce słuchać, no nie? Krzysia

najbardziej jednak pasjonowało zatopione miasto. Nie, nie jakaś tam Atlantyda! Od taty wiedział, że w Warszawie, na Targówku już kiedyś było budowane metro. Było to tak dawno temu, że może jedynie dziadek mógł pamiętać, chociaż o tym nie mówił, więc pewnie to było jeszcze wcześniej. Metro zaczęto budować, ale prace niebawem przerwano. Tunele zalano. Krzyś uznał, że stanowią one część zatopionego miasta. Tym bardziej zaciekawiło go, co się w nim obecnie dzieje. Ludzie tam nie mieszkają, to oczywiste, ale może są chociaż zatopione skarby?

Chodził Krzyś i dopytywał, nie tylko tatusia, ale i mamę, czy może tam jest jakiś potwór czy coś innego. Ale nikt nic nie wiedział, zresztą mama wyśmiała potwory, bo przecież w wodzie mieszkają tylko ryby. Delfiny i rekiny też, ale to w oceanach…

W pewien weekend Krzyś wybrał się z tatą, aby obejrzeć powstającą na Targówku stację metra. Nie chodziło mu jednak o oglądanie budowy, którą widział z okien mieszkania. Interesowała go *Maria*, którą właśnie przywieziono, aby rozpocząć wykopywanie kolejnych tuneli metra. Robiła wrażenie, to prawda. Była absolutnie największą rzeczą, jaką Krzyś widział na własne oczy. Taka machina z pewnością dotarłaby do zatopionego miasta. Niestety, panowie inżynierowie mówili jedynie, że tarcza będzie drążyć tunel do kolejnej stacji i do kolejnej, ale o zatopionych nie mówili.

Krzyś wrócił trochę smutny. Bo jak to: tyle pracy, tyle kopania i tylko po to, aby znowu wykopać tunel? A jeśli znowu ktoś zechce go zalać wodą? Nigdy nie wiadomo. I znowu nikt nie mówił o odkryciu żadnego skarbu, a tak

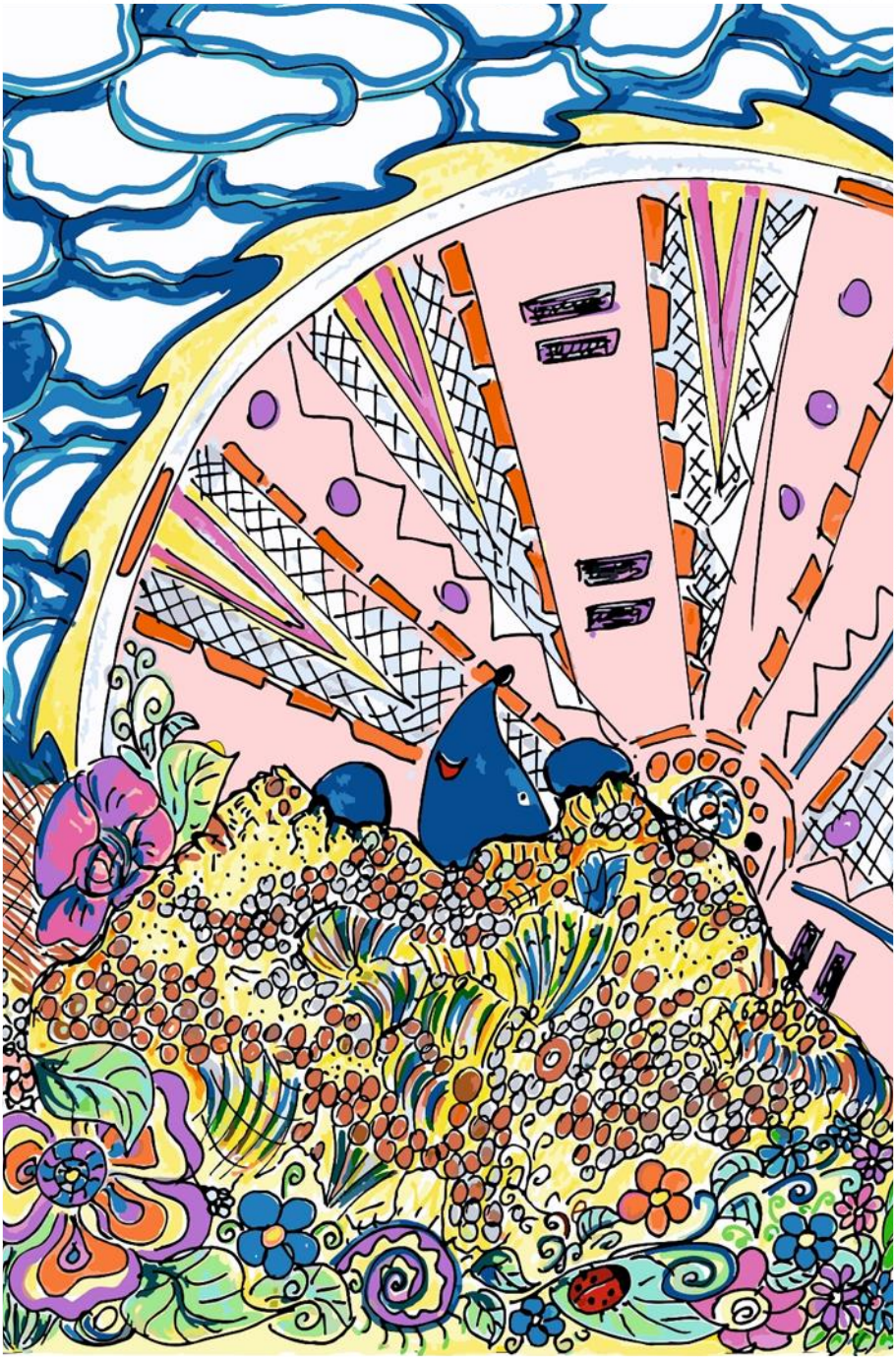

przecież dopytywał, czy coś wykopano.

W poniedziałek rano na osiedlu gruchnęła wieść, że *Maria* przestała kopać. Coś się stało, ale nikt nie wiedział, na pewno co takiego. Jedynie *Maria* nie hałasowała. Krzyś chwilę się zastanawiał, aż wpadł na pomysł, że *Maria* pewnie coś odkryła. Jakiś skarb. Może bombę z czasów wojny, bo podobno nie wszystkie znaleziono. A może coś innego. Ale co?

Krzyś wiedział na pewno: *Maria* dokopała się do zalanego miasta. Wszystko się zgadzało: wyłączyli przecież wodę, co prawda tylko ciepłą, ale to tak dla niepoznaki, żeby się nikt nie zorientował. Nie było widać, jak woda dostaje się na budowę, ale jakieś osuwisko powstało.

Wieczorem tatuś powiedział, że *Maria* wykopała dziurę pod rurami z wodą, na które zawaliła się ziemia, dlatego trzeba było przerwać prace na kilka godzin. W nocy przyśniło mu się, jak wjeżdża rozpędzonym wagonem metra do wodnego miasta, które gdzieś tam było. I było takie, jak je sobie wymarzył.

Mój bajkowy Targówek

Elżbieta Kosiba (Eliza)

– Halo! Babciu, tęsknię za Tobą, jutro do Ciebie przyjadę. Paaa! – To dzwoniła moja wnuczka Jula.

Pomyślałam, że jutro, jak zwykle, tuż po obiedzie, wybierzemy się do naszego Pałacu i zwiedzimy Zaczarowany Ogród.

Pałacem nazywamy piękny Teatr Rampa, a Zaczarowany Ogród to Park Wiecha.

Następnego dnia Julia przyjechała wraz ze swoją mamą, przywitała się z dziadkiem, wzięła mnie za rękę i powiedziała:

– Babciu, idziemy do naszego Pałacu!

Julcia jest sześcioletnią, bardzo żywiołową dziewczynką, która tak jak jej babcia lubi uciekać do świata wyobraźni.

Po wyjściu z domu poczułyśmy powiew ciepłego powietrza i zapach akacji. Słońce i śpiew ptaków nastrajały optymistycznie. Julcia jak kolorowy motyl pobiegła po lody

i poszłyśmy przed Pałac, skąd rozciąga się perspektywa na pasaż z fontannami, zadbaną roślinnością i bezkres nieba.

Obie lubimy siedzieć na drewnianej ławce i obserwować jak woda z fontanny tańczy i mieni się kolorami tęczy.

W pewnym momencie Julia mówi:

– Babciu, popatrz! Jest nasza zaczarowana księżniczka!

Tylko ja wiem, że chodzi o dziką kaczkę, która od kilku lat wraca do „naszego" ogrodu i pływa w basenie fontanny.

– Babciu, wiesz, ta kaczka to zaczarowana księżniczka i wierzę, że kiedyś ktoś ją odczaruje i zmieni w piękną dziewczynkę, z którą będę mogła się bawić na placu zabaw.

Kaczka podpłynęła do Julci, otrzepała skrzydełka z maleńkich kropelek wody, które jej na nich osiadły i odleciała szukać swojego księcia.

Wokół fontanny przechadzają się babcie, dziadkowie i biegają radosne dzieci.

Z tego Zaczarowanego Ogrodu korzystają kolejne pokolenia i każde z nich zapamięta inną bajkę, którą opowie swoim wnukom.

Zaczarowany samochód

Aleksandra Berkowska

Zdarzyło się to w Warszawie, wielkim mieście – stolicy Polski. Przy jednej z mniej uczęszczanych ulic Targówka, Dzielnicy Warszawy, znajdował się mały sklepik. Był to sklep z zabawkami. Można było tam kupić klocki, lalki i wózki dla lalek, małe i duże piłki oraz różnego rodzaju kolorowe samochodziki. Samochody zajmowały tylko jedną, ale za to szeroką i długą półkę. Właśnie na tej półce, wśród innych zabawkowych pojazdów stał mały, zakurzony, czerwony samochodzik. Nikt nie chciał go kupić. Wszyscy wybierali duże, kolorowe ciężarówki, traktory, spychacze i wyścigówki.

Pewnego dnia do sklepu wszedł Krzysio. Bardzo pragnął kupić duży, żółty, wyścigowy samochód, jednak pieniędzy ze skarbonki wystarczyło mu tylko na mały, czerwony samochodzik. Kupił go więc.

Przez całe popołudnie bawił się swoją nową zabawką, aż nadszedł wieczór i trzeba było kłaść się spać.

Krzysio postawił samochodzik na półce przy łóżku. Zadowolony z minionego dnia szybko usnął.

W nocy obudził go dziwny dźwięk. Co to może być? Krzysio nadstawił uszu. Po chwili usłyszał:

– Ti – dit, ti – dit, ti – dit!

Odgłos dochodził z półki. Przestraszony chłopiec schował głowę pod kołdrę, ale wciąż nasłuchiwał. I znowu to samo:

– Ti – dit, ti – dit!

Skulił się, zacisnął powieki i już, już miał zacząć wołać mamę, gdy usłyszał:

– Krzysiu! To ja, twój nowy samochód. Nie bój się mnie.

Ciekawość była silniejsza od strachu. Chłopiec powoli wyszedł z łóżeczka. Zdziwił się bardzo, gdy zobaczył, że reflektory małego samochodziku błyszczą i patrzą w jego stronę, a zderzak wesoło się uśmiecha i zdaje się mówić:

– Nie dziw się, jestem zaczarowaną zabaw-

ką. Jeżeli wypowiesz trzy magiczne słowa, stanę się samochodem jakiego pragnąłeś i wspólnie odbędziemy niesamowitą podróż. Podróż twoich marzeń.

Krzysio z wrażenia nie mógł powiedzieć ani słowa. Zawsze chciał podróżować. Snuł też plany, że kiedyś zostanie najlepszym na świecie kierowcą. Ostrożnie wziął do ręki czerwony samochodzik i szybko przeszedł na środek swojego pokoju, gdzie leżał dywan przedstawiający miasteczko. Można tam było zobaczyć wszystko: długie ulice, sygnalizację świetlną, przejścia dla pieszych, drzewa, a także małe kolorowe domki. Krzyś usiadł po turecku na swoim dywanie, na przeciwko siebie postawił zabawkę i zapytał:

– Jakie to magiczne słowa?

– Niestety, nie mogę ci powiedzieć. Musisz je odgadnąć całkowicie sam – odpowiedział samochodzik.

Krzyś długo próbował. Nic jednak nie skutkowało. Ani „Abrakadabra brum, brum”, ani „Hokus pokus morokus”.

Po godzinie zrezygnowany, niemal ze łzami w oczach powiedział:

– Bardzo proszę, urośnij.

I wtedy stała się rzecz wprost niesłychana. Pojawiła się mgła i na moment okryła mały, czerwony pojazd, całą uliczkę na której stał, i Krzysia. Gdy opadła, chłopiec ujrzał piękny samochód, dokładnie taki, jakiego pragnął. Bardzo się ucieszył! Spełniło się przecież jego marzenie. Samochód był na tyle duży, że Krzysio z łatwością usiadł na miejscu kierowcy.

– Proszę, zamknij teraz na chwilę oczy – poprosił wesoło samochód.

Krzyś mocno zacisnął swoje powieki. Myślał, że poczuje zaraz ruch, a jego twarz owionie chłodny powiew wiatru. Nic takiego jednak nie nastąpiło, usłyszał tylko:

– Krzysiu, mój kierowco, możesz już otworzyć oczy.

Chłopczyk tak też natychmiast zrobił. Z ogromnym zdziwieniem i jeszcze większą radością zobaczył przepływające wokół niego i wolno zmieniające się barwne, egzotyczne krajobrazy. Krzyś czuł się jakby podróżował i zwiedzał odległe miejsca na całej Ziemi.

Czuł się tak, jakby był daleko od swojego

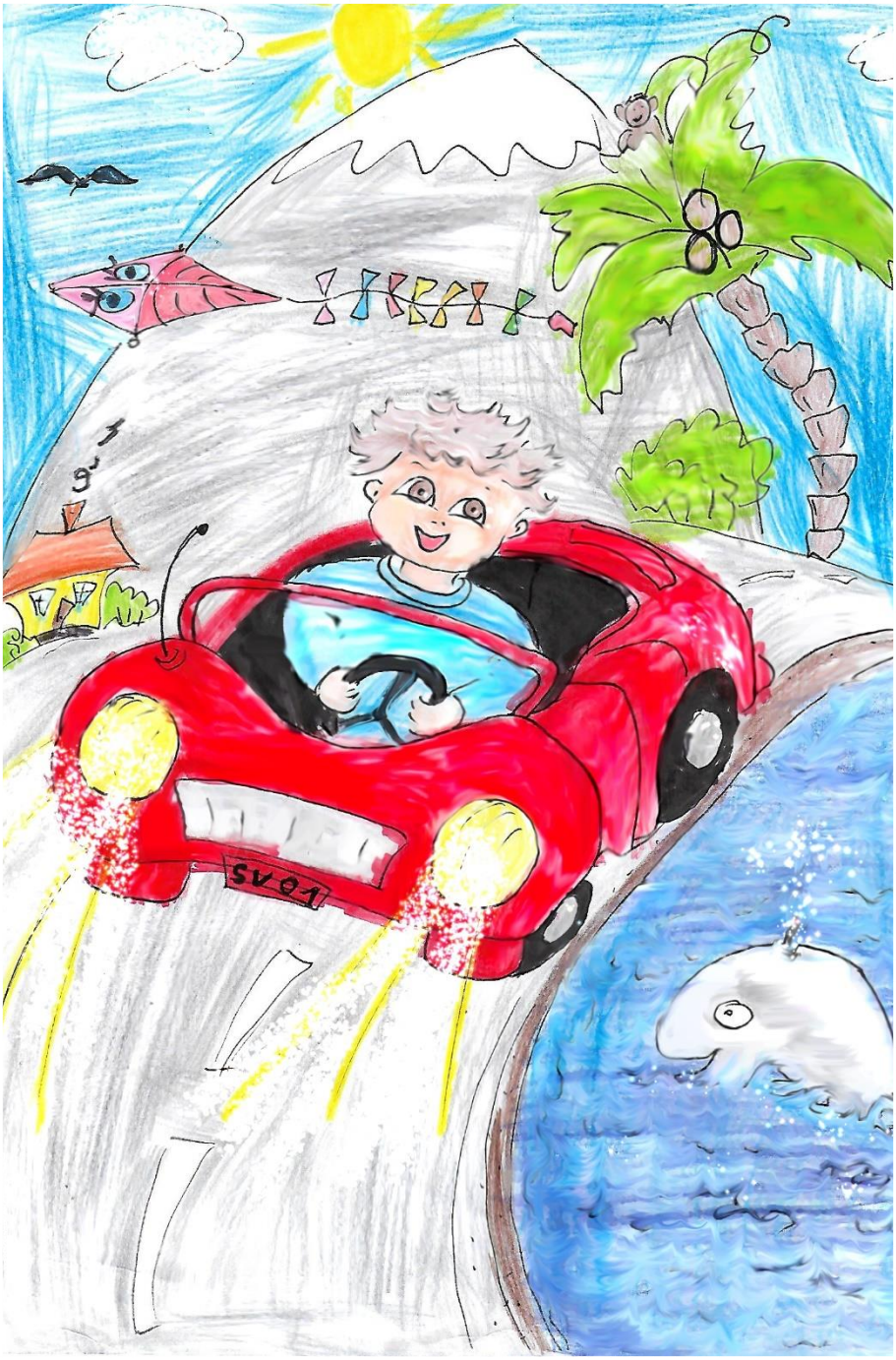

ukochanego domu, a przecież nie było to prawdą. Nadal był w swoim pokoju, dobrze mu znanym i bezpiecznym, a jednocześnie jakby przebywał w dalekich krajach.

Zawdzięczał to zaczarowanemu samochodzikowi, to dzięki niemu mógł podziwiać te piękne widoki, odbywać swoją magiczną podróż.

Teraz już co noc razem – Krzyś i jego samochodzik – zwiedzali dalekie miejsca na całym świecie. Mimo tych nocnych podróży, rano Krzyś był wyspany i pełen energii, ponieważ jego zabawka miała jeszcze jedną magiczną właściwość. Samochodzik podczas ich wspólnych podróży zatrzymywał czas.

– Dziękuję ci za piękną podróż – mówił Krzyś, gdy wysiadał i samochód na powrót stawał się małą zabawką.

Zaprzyjaźnili się mocno. A Krzyś od tej pory dobrze pamiętał, że warto używać magicznych słów „proszę” i „dziękuję”.

Duszek–Raduszek

Katarzyna Bohdanowicz

Witajcie wszystkie Dzieci, małe i duże! To ja, Duszek-Raduszek, a nazywam się tak, bo przywracam radość tym, którzy są smutni.

Pewnie chcecie wiedzieć, jak wyglądam. Otóż mam główkę w kształcie kwiatka, dwa błękitne oczka, czerwony nosek i piegi, a do tego zawsze uśmiech od ucha do ucha. Przyznaję, że jestem troszeczkę za gruby, bo uwielbiam cukierki, a najbardziej te w kolorowych, szeleszczących papierkach. Mam też rączki i nóżki jak Wy, a do tego malutki, puszysty ogonek jak u królika. Wędruję po całym świecie z małym plecaczkiem, a w plecaczku chowam różne, bardzo ciekawe rzeczy, na przykład Dzwoneczek Uśmiechu. Chciałbym Wam dziś opowiedzieć o jednej z moich podróży na warszawki Targówek, podczas której spotkałem pewien Opuszczony Domek.

Było to pewnej zimnej, listopadowej nocy, gdy od dawna już byłem w drodze, a wiatr hulał niemiłosiernie tak, że przewracał nawet te największe i najstarsze drzewa. Właśnie wtedy przez smugi deszczu ujrzałem Domek na Targówku, który wydawał się całkowicie opuszczony.

– Witaj! – zawołałem do niego jak najgłośniej, aby przekrzyczeć wycie wichru. – To ja, Duszek-Raduszek. Czy pozwolisz mi przenocować pod twoim dachem?

Nie otrzymałem jednak żadnej odpowiedzi.

Wtedy wyjąłem z plecaczka Dzwoneczek Uśmiechu. Na jego dźwięk zaskrzypiały stare drzwi.

– Kimkolwiek jesteś – powiedziały – nie chcemy cię tutaj. Odejdź precz!

Zasmuciłem się bardzo, bowiem zrozumiałem, że temu Domkowi ktoś, kiedyś wyrządził wielką krzywdę.

– Co ci uczyniono? – zapytałem. – Może mógłbym pomóc? Czy jest jakiś sposób, w jaki mógłbym cię uszczęśliwić, Domku na Targówku?

– Odejdź precz! – powtórzyły drzwi. – Nie

ma szczęścia na tym świecie. Jest tylko ból.

– Zaufaj mi – poprosiłem. – Otwórz się przede mną i opowiedz, co cię takiego spotkało. Wpuść mnie pod swój dach, a rozpalę ogień w twoim wnętrzu i dam ci ciepło.

– Ciepło – zastukały okiennice. – Już od bardzo, bardzo dawna nie czujemy ciepła. – Drzwi uchyliły się, ale szpara była tak niewielka, że z niemałą trudnością wcisnąłem się do wnętrza.

Domek w środku wydawał się jeszcze bardziej opuszczony niż na zewnątrz. Wszędzie kurz, pajęczyny i ciemność… porozrzucane stare meble, wygasły kominek. Gdy rozpaliłem ogień, tlił się ledwo, ledwo i wyglądało to wszystko jeszcze smutniej.

Nie słyszałem w ogóle bicia serca Domku na Targówku, a przecież zawsze, jak dotąd, od razu udawało mi się odnaleźć serduszka wszystkich domów, jakie spotkałem na swej drodze – małych i dużych. Postanowiłem więc udać się na poszukiwania. Przykładałem ucho do podłogi, do ścian, zszedłem nawet do piwnicy. Długo musiałem szukać, aż wreszcie usłyszałem cichutkie stukanie.

– Tuk – tuk – żaliło się serce Domku. – Jestem opuszczony i nikt mnie nie kocha, bo nie zasługuję na miłość. Tuk – tuk. Nikt mnie nie chce, bo jestem okropny. Tuk – tuk.

– Kto cię skrzywdził, Domku na Targówku? – zapytałem, gładząc ścianę w miejscu, gdzie biło jego serce. – Chcę poznać twoją historię. Jeśli powiesz, kto cię skrzywdził, na pewno ci pomogę.

– Tuk – tuk. Dobrze – zgodził się Domek na Targówku. – Dawno, dawno temu mieszkali tu ludzie. Wtedy jeszcze potrafiłem się cieszyć. Moje szybki były czyste, dach czerwony, serduszko pełne nadziei. Wierzyłem, że mnie pokochają. Wierzyłem bardzo, że jestem w środku ładny i że spodobam się każdemu, kto do mnie przyjdzie. Ale oni mnie nie chcieli takiego, jakim byłem. Ciągle na mnie krzyczeli, że wszystkie ich nieszczęścia to przeze mnie. Tuk – tuk. Mówili, że jestem okropny, że bardzo żałują, że tu zamieszkali. Tuk – tuk. Mówili, że jestem obrzydliwą ruderą. Ciągle przestawiali meble, przemalowywali ściany na inny kolor, aż w końcu nie mogłem już sam siebie poznać. Zrobili mi w środku

wielki bałagan i wielki smutek. A potem mnie zostawili. Nie chcę już oglądać ludzi. Oni sprawiają ból.

– Kochany Domku na Targówku! Uwierzyłeś, że jesteś brzydki, ale to nieprawda. Jesteś śliczny. Trochę tu teraz bałaganu, ale wszystko da się zmienić. Jeżeli się zgodzisz, mogę posprzątać w twoim wnętrzu. Mogę powymiatać śmieci, odkurzyć meble, umyć twoje zamglone szybki, byś mógł znów widzieć świat.

– Nie warto – odparł Domek. – Nie chcę.

Wtedy wyjąłem magiczny kluczyk, który otwierał wszystkie serca. Ledwie to uczyniłem, na ścianie ukazały się małe drzwiczki prowadzące do najczulszego miejsca Domku. Uchyliwszy je, spostrzegłem, że jego serce zamknięte jest w grubej, czarnej skorupie. Nachyliłem się nad nim i pocałowałem je, a wtedy skorupa pękła na dwoje. Potem jeszcze raz zadzwoniłem Dzwoneczkiem Uśmiechu.

– Kocham cię! – zaśpiewał Dzwoneczek. – Dobrze w tobie mieszkać! Jesteś cudowny! Od dziś zapomnij o tamtych ludziach. Oni

mieli swoje kłopoty, z którymi nie potrafili sobie poradzić, więc uznali, że to twoja wina. Ale nie wierz im, Domku na Targówku! To, co mówili, nie było prawdą. Masz prawo być szczęśliwy. Radość to najpiękniejsza rzecz na świecie!

Wtedy stał się cud – cały Domek zadrżał w posadach, jak gdyby odetchnął głęboko, a po jego szybkach spłynęły najprawdziwsze łzy. Tak, Kochani, Domek na Targówku płakał, trząsł się cały i szlochał jak dziecko, a łzy umyły nagromadzony w nim kurz i brud, tak że stał się czyściutki jak kiedyś.

Potem przyszła kolej na mnie. Gdy noc minęła, a następnego dnia zza chmur wyjrzało słońce, wytrzepałem dywany, poustawiałem meble jak należy, otworzyłem okna i okiennice i wpuściłem do wnętrza dużo świeżego powietrza. Wieczorem znów rozpaliłem ogień, lecz tym razem już wesoło buzował w kominku.

– Kochamy cię! – śpiewały łóżka i stoły, szafy i drzwi. – Kochamy cię, bo przywróciłeś nam radość. Zostań z nami na zawsze.

– Nie mogę! – odpowiedziałem. – Jeszcze

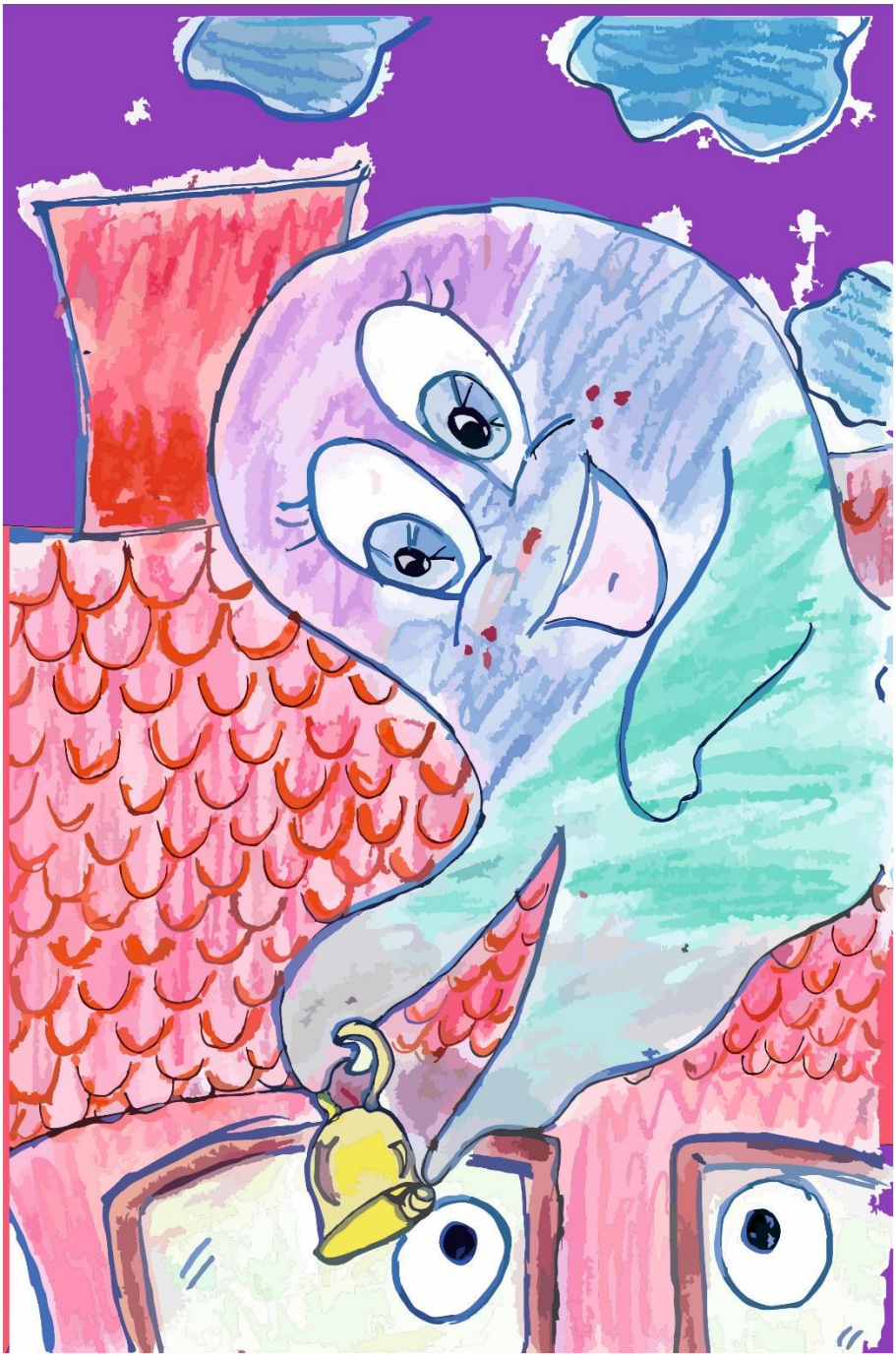

wiele innych istotek zabłądziło w bólu i żalu, i potrzebuje radości. Trzeba je odnaleźć. Co do mnie, to nie mam stałego mieszkania, bo moim domem jest cały świat. Nie gniewaj się, Domku na Targówku, na tym polega moja rola. Już niedługo zamieszkają tu nowi ludzie. Ludzie szczęśliwi.

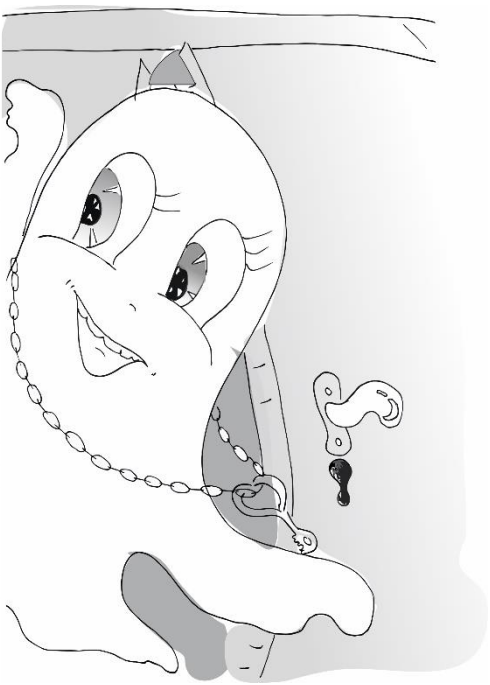

Po tych słowach zabrałem swój plecaczek i odszedłem.

Kiedy przechodziłem tamtędy rok później, z trudem poznałem Domek na Targówku.

Był taki ładny i czysty, a w oknach paliło się światło.

– Witamy cię, Duszku-Raduszku! – śpiewały drzwi. – Pozdrawiamy cię i bardzo ci dziękujemy za to, co dla nas zrobiłeś!

Targówkowe przygody

Agnieszka Milaszewska z córką Zosią

Od autorki

Rzecz się dzieje na Targówku, na działkach rekreacyjnych, których wiele w okolicy, oraz na osiedlu mieszkaniowym tejże samej dzielnicy. Czwórka dzieci mieszkających na co dzień w blokach w niedalekiej odległości od siebie, w okresie wakacyjnym spotyka się w ogródkach – są najbliższymi sąsiadami. Miejscem, które je połączyło jest Targówek. Kiedy przebywają na działkach, mają czas na zabawę, wygłupy, wymyślanie historyjek, kłótnie i bliższe przyjaźnie.

Szkielet bajki – to historia prawdziwa. Geneza powstania Teatru „Rampa" i postacie – również. Część magiczna, oczywiście zmyślona. Imiona dzieci zostały zmienione.

W bajce bierze udział pięć postaci: Laura lat 12, Zosia lat 11, Kacper lat 11, Kajtek lat 10 oraz duch – ponadwiekowy.

*

Było ciepło, cicho i nic nie zapowiadało, że coś w tym dniu się wydarzy. Zosia siedziała w domku na działce, czytając jakąś mało znaczącą książkę. Właściwie to sama nie wiedziała, dlaczego pozycja przyciągnęła jej wzrok. W tej książce nie było nic nadzwyczajnego. Od tak po prostu leżała sobie mocno ściśnięta na półce pomiędzy innymi tytułami. To była baaardzo stara książka, która nie miała okładki i kilku pierwszych stron, dlatego nie sposób było na pierwszy rzut oka odgadnąć, czego dotyczyła. Być może grzbiet przyciągnął wzrok Zosi swoją wyjątkową obskurnością.

Z pierwszych przeczytanych zdań Zosia zorientowała się, że jest to książka o tematyce historycznej, przynajmniej tak jej się wydawało. Nagle zorientowała się, że znalazła się w jakimś znanym miejscu wraz ze swoją koleżanką Laurą. Po rozpoznaniu okazało się, że jest to Teatr RAMPA, doskonale znany obu dziewczynkom. Bywały tu wielokrotnie, ponieważ teatr znajdował się pomiędzy blokami na ich osiedlu. Dziewczynki zauważyły, że nie

były w nim same. Po foyer (wym. fuaje)* fruwała mała, biała sówka. Taka sama jak w Harrym Potterze. Próbowały ją złapać, ale ona była sprytniejsza, więc dały za wygraną i zaczęły ją obserwować. Wydawało im się, że sówka gdzieś je prowadzi. Rozglądając się po otoczeniu, ujrzały lekko uchylone drzwi, a za nimi kamienne schodki prowadzące w dół. Dziewczynki spojrzały po sobie porozumiewawczo i bezsłownie zdecydowały, żeby nimi iść. Nie bały się niczego. Chęć ujrzenia czegoś frapującego była mocniejsza. Sówka zniknęła, a one znalazły się w podziemiach teatru. Było tam ciemno i wilgotno.

– Nic tu po nas – zgodziły się jednomyślnie i postanowiły zawrócić. Już miały to uczynić, gdy nagle usłyszały jakiś głos dobiegający z daleka. Po omacku przeszły kilka metrów w miejsce, gdzie zakręcał korytarz. To, co zobaczyły, przeszło ich najśmielsze oczekiwania. Przy blasku świeczki, nad ogromną księgą, siedział stary człowiek. Brodę miał siwą i mówił do siebie. Powtarzał w kółko coś czego dzieci nie rozumiały. Laura szturchnęła Zosię:

– Kto to jest? – szepnęła niepewnie.

Nagle stary człowiek odwrócił się, jakby ją usłyszał. Dziewczynki były przerażone, że zostały zdemaskowane. Ujrzały dokładnie twarz tego mężczyzny. Cała pokryta była głębokimi zmarszczkami.

– Siądźcie obok mnie – zaproponował stary mężczyzna.

Przesunął się, żeby zrobić miejsce. Zosia i Laura były zaskoczone. Wiedziały doskonale, że nie powinny zawierać znajomości z nieznajomymi. Jednak głos tego człowieka, tak łagodny i spokojny sprawił, że postanowiły mu zaufać i przysiąść na chwilkę. Jako że były we dwie, miały więcej śmiałości. Tymczasem stary człowiek liznął palec, przyłożył go do pożółkłego pergaminu jeszcze starszej niż on sam księgi i przewrócił kilka kartek.

Dziewczynki bacznie obserwowały, co robi. Mężczyzna położył mocno zniszczoną dłoń na kartce, którą właśnie otworzył, zamknął oczy i wyrecytował coś cudownie. Następnie otworzył powieki i równie łagodnie jak wcześniej zapytał:

– Czy znacie ten tekst?

– Nie – odpowiedziała nieśmiało Laura, której nigdy wcześniej nie brakowało śmiałości.

Zosia równie szybko zaprzeczyła ruchem głowy.

Obie dziewczynki były bardzo poważne i przejęte.

– „Hamlet" – klasyka teatru dramatycznego – wytłumaczył starszy pan. – No jasne, niby skąd mogłybyście wiedzieć, przecież jesteście za małe. Każdy młody aktor marzy o tym, żeby zagrać Hamleta, ale nie ja. Owszem, byłem pod wrażeniem tej sztuki napisanej przez Szekspira* ponad 400 lat temu, lecz odkryłem w sobie inne powołanie. Zamiast na dramat, postawiłem na rozrywkę. Założyłem teatr – ten teatr. Żeby grać w teatrze musicalowym musiałem go sam najpierw założyć, bo nie było takich miejsc.

Dziewczynki ze zdziwienia aż otworzyły buzie.

– Był to rok 1975 – ciągnął dalej starzec. – Z pewnością waszych rodziców nie było wtedy jeszcze na świecie, a co dopiero was. Targówek wyglądał trochę inaczej. W miejscu,

gdzie teraz się znajdujemy, mieścił się kiedyś Dom Kultury. Teatr, który znacie z obecną jego nazwą „Rampa" też się inaczej nazywał – był to „Teatr na Targówku". A ja jestem Marian Jonkajtys*, ten, za sprawą którego powstało to miejsce, pod wcześniejszą nazwą.

W tym miejscu starzec zawiesił głos, spuścił wzrok i zamyślił się. Ta cisza spowodowała, że Zosia usłyszała jakieś nawoływania z głębi.

– Zosia, Zosia! – brzmiało z daleka.

Ocknęła się. Nagle ujrzała to samo miejsce, w którym rozpoczęła czytać książkę. Ta sama kanapa, identyczne otoczenie. Taki stan ponownego powrotu do rzeczywistości, trwał może kilka minut. Głosy nawołujące Zosię przybliżały się. Kiedy oswojenie z otoczeniem minęło, otworzyły się drzwi i do pokoju wbiegła trójka dzieci. Wśród nich była Laura.

– Co robisz, Zosiu? – zapytał Kacper.

– No właśnie? Dlaczego się nie odzywasz? – zawtórował mu brat Kajtek.

– Obraziłaś się na nas? – dodała Laura.

Zosi przez chwilę przemknęła myśl, żeby

opowiedzieć kolegom swoją historię. Uznała jednak, że nie jest to odpowiedni moment. Mogliby przecież wcale jej nie uwierzyć, nie chciała się ośmieszyć. Zaczęła po kolei odpowiadać na pytania.

– Na nikogo się nie obraziłam. Nie słyszałam was. Czytam książkę.

– A jaką? – dopytywał się Kacper.

– Nie znam tytułu – powiedziała prawdę Zosia.

– Pokaż – nie dawał za wygraną Kacper. – Rzeczywiście, nie ma strony tytułowej.

– Jak to? – zdziwiła się Laura.

– Nie ma kilku stron – dopowiedział rzeczowo Kajtek.

Trójka dzieci była wyraźnie zainteresowana książką. Laura nawet zaczęła ją wertować, a następnie ciągnęła myśl.

– Widziałam ją gdzieś. Chyba w naszej szkolnej bibliotece? Nie, to nie było w bibliotece. To samo było napisane w programie Teatru „Rampa". Jak byłam na „Tajemniczym Ogrodzie", rodzice kupili mi program. Tam było o czterdziestoleciu teatru. O, to musi być książka o jego historii.

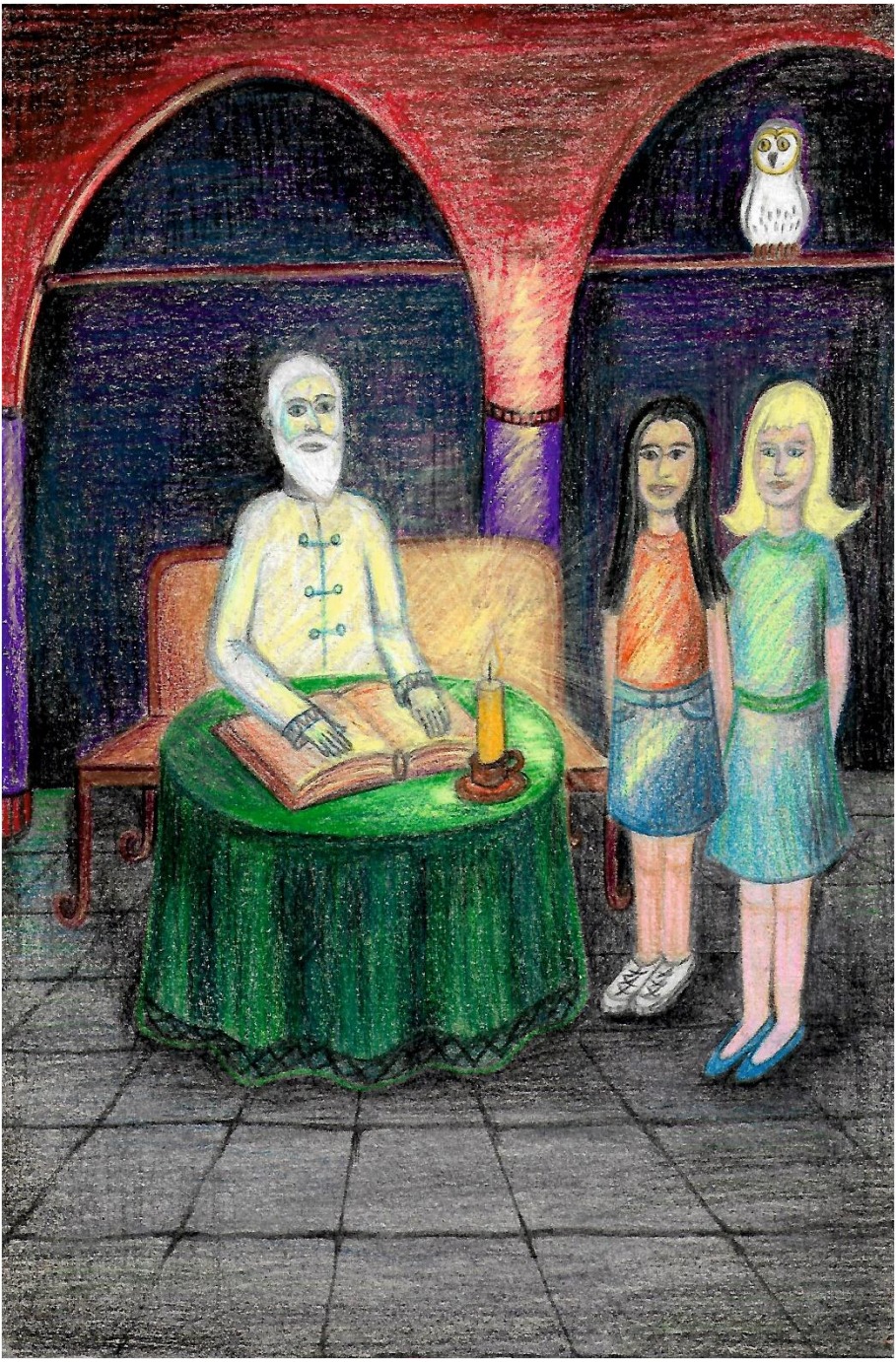

– Zaraz, zaraz, niekoniecznie – żachnęła się Zosia. – To może być historia o „Teatrze na Targówku".

– A gdzie jest ten teatr? – zapytał nieświadomie Kajtek.

– Oj, Kajetan, Kajetan – powtórzyła zrezygnowana Laura. To Teatr „Rampa" przecież, tylko że kiedyś miał inną nazwę.

– No właśnie – dopowiedziała Zosia. A założycielem był Marian Jonkajtys. Poznałam go. Zresztą ty też – zwróciła się do Laury.

– Co? Nie znam żadnego Mariana Jon… coś tam.

Zosia nic już więcej nie powiedziała, ponieważ zdała sobie sprawę, że nie powinna. Nikt nie znał przecież szczegółów jej sennej przygody.

– No, chodźcie na dwór – niecierpliwił się Kacper. – Idziemy nad jezioro? – ciągnął dalej.

– Dobrze – odpowiedziała entuzjastycznie Laura.

Cała czwórka ruszyła w głąb targówkowych działek – niczym tytułowe „Dzieci z Bullerbyn" – na poszukiwanie kolejnej przygody.

Objaśnienia

- Foyer – pomieszczenie przylegające do sali widowiskowej, w tym przypadku teatralnej, służące do odpoczynku i rozmów w trakcie antraktów (przerw). Jest to rodzaj korytarza przed salą widowni.
- Wiliam Szekspir – (ang. William Shakespeare; ur. prawdopodobnie 23 kwietnia 1564, zm. 23 kwietnia?/3 maja 1616 tamże) – angielski poeta, dramaturg, aktor. Napisał 38 sztuk, a także wiele utworów innych gatunków. Powszechnie uważany za jednego z najwybitniejszych pisarzy literatury angielskiej oraz reformatorów teatru[3].
- Marian Jonkajtys (ur. 20 maja 1931 w Augustowie, zm. 4 kwietnia 2004 w Warszawie) – polski aktor, reżyser teatralny, poeta, rzeźbiarz, pedagog. Założyciel i wieloletni dyrektor warszawskiego „Teatru na Targówku", obecnie Teatru „Rampa".

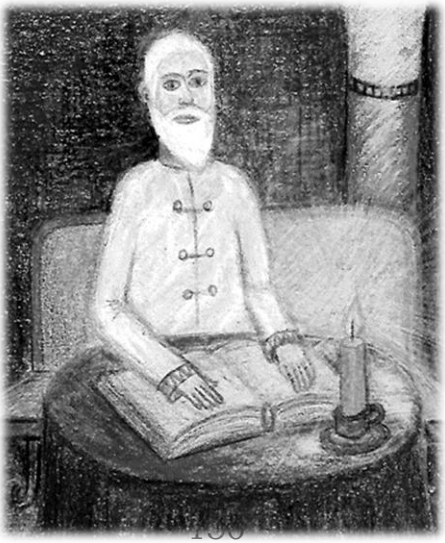

W co bawili się rodzice, gdy byli dziećmi

Katarzyna Adamska-Dutkiewicz

Dzień dobry! Nazywam się Kasia i mam sześć lat. Jestem już w zerówce, a za rok idę do szkoły. Całkiem nowej. Dopiero ją budują.

Mam opowiedzieć Wam o tym, jak się bawimy na Targówku.

Mieszkam tu już od trzech lat, w nowym bloku koło parku. Wszystkie inne bloki są tu odnowione i mają kolorowe ściany. Każda ulica to inny kolor, więc łatwo trafić do domu.

Trochę dalej są takie bloki, które są szare i wyglądają jak zbudowane z klocków. Tam właśnie budują tę nową szkołę.

W parku na Targówku bawimy się codziennie. Koło bloku mamy piaskownicę, ale przy parku jest duży plac zabaw – najlepszy na całym osiedlu – cały z brązowych drewnianych belek, są tam drabinki, a nawet huśtawki i równoważnie.

Wśród drzew też jest fajnie. Na niektórych siedzą stada ptaków i trzeba uważać na ich „pamiątki". Podobno przynoszą szczęście, ale mamy nie są z nich zadowolone.

Jest tam też duży budynek. To teatr. Dzieci ze szkoły tam chodzą na przedstawienia. Słyszałam, że kiedyś miało być w tym miejscu metro. Taki pociąg jeżdżący pod ziemią. Za granicą też takie mają.

Na ławkach w parku siedzą dziadkowie. Tylko na tych dobrych. Bo inne są zepsute. Starsze dzieciaki podobno je popsuły, bo wchodziły na nie z butami. Nam się też czasem tak zdarzało, ale niczego nigdy nie zepsuliśmy.

Po alejkach chodzą mamy z małymi dziećmi i dzidziusiami w wózkach.

Czasem ktoś przejeżdża na rowerze. Ja chciałabym mieć Wigry 3. Czerwony i taki co się składa. I żeby miał dynamo, do lampek, które będą świeciły po ciemku.

Mamy też deskorolkę. To znaczy Mirek ma. I często ją przynosi. Nie umiem na niej jeździć. Wolę moje wrotki. Przypinam je do butów paskami i jestem wtedy dużo wyższa

i szybsza. Nawet mogę się ścigać z Mirkiem.

Wojtek raz przyniósł samochód na korbkę. Auto było na kabelku, który trzymał w ręku i jak kręcił korbką, to koła się obracały. Samochodzik sam wtedy jechał!

My, dziewczyny, przynosimy wózki z lalkami. Zosia ma naguska, a Jola lalkę z Krakowa, która sama zamyka oczy. Kiedyś sprawdziła czy włosy jej odrastają. I niestety po obcięciu już nie odrosły.

Ja przychodzę z miśkiem. Trochę się nadpruł i coś z niego się sypie, ale innych zabawek nie mogę wynosić z domu.

Z Magdą bawimy się w Pszczółkę Maję. To jest nasza ulubiona bajka. Udajemy (bo to nie jest naprawdę), że Maję uwięziła zła pajęczyca Tekla w dziupli drzewa. A my przynosimy kwiatki i listki, żeby ją uratować.

Robimy też widoczki. Albo sekrety. Nie mówicie o tym nikomu. To tajemnica! W wykopany dołek kładziemy gałązki, kwiatki albo listki. Można też włożyć papierek po cukierku albo historyjkę po gumie Donald. Takie są najfajniejsze. Wszystko przykrywa się znalezionym, dużym kawałkiem szkła po stłuczo-

nej butelce, najlepiej białej i zasypuje obrazek ziemią. Trzeba uważać, aby się nie skaleczyć. Trzeba też oznaczyć to miejsce, żeby je potem odnaleźć. Sekret odkrywa się delikatnie odkopując szkiełko z ziemi. Chłopaki podglądają nas i próbują znaleźć, a później zepsuć nam te skarby. Ale my im nie dajemy!

Gdy chłopcy chcą się z nami bawić, to jest jeszcze fajniej. Można wtedy zostać dziewczyną czołgisty. Chociaż ja wolę być żołnierzem. Bartek mówi, że nie mogę, bo się nie znam i jestem dziewczyną. Nie zwracam na to co mówi uwagi albo strzelam do niego z patyka. Ale tak na niby. I żeby nie wiedział, bo Bartek jest starszy i większy. Pewnie bym mu uciekła, ale wtedy inni powiedzą, że ze mnie tchórz i się nie umiem bawić.

Jak będę duża, to będę strzelała naprawdę. Chociaż wojna jest straszna. Tak mówi moja babcia. A moja babcia jest mądra i wie wszystko. Wolę jednak, żeby wojny nie było.

A strzelać mogę na strzelnicy. Bo takie są na jarmarkach na wsi. Jeszcze nie byłam na wsi. Podobno są tam żywe zwierzęta – konie,

krowy, świnie i kury. Chociaż kury to nawet na naszym osiedlu hodują ludzie mieszkający w starych domach z ogródkami.

Niektórzy mają też psy i koty. Z psami to można pobiegać i je pogłaskać. Chyba że któryś szczeka, to wtedy lepiej go nie zaczepiać.

Tamara ma nawet rybki. Jej tata zrobił akwarium i mają też malutkie wodne ślimaki. Coś tam nawet bulgocze, żeby w wodzie było powietrze. Czasem, gdy idę do Tamary, to siedzę przed szybą i patrzę na ten wodny domek.

W domach nie mamy dużo rzeczy. Drewniane klocki, lalki, misie. I gry – warcaby, albo szachy oraz chińczyka.

Ja mam nawet cymbałki i flet, bo mój tata lubi muzykę. Ma swoje organki, ale nie można na nich grać.

Bardzo lubię za to oglądać jego znaczki. Mamy takie duże albumy zwane klaserami. W nich są poukładane znaczki, takie jakie przykleja się na listy. Tylko te są nowe i bez stempli. Mamy całe serie, na przykład wszystkie kwiatki, domki i zwierzęta.

Mamy też dużo książek. Podobno niestety nie w każdym domu ludzie je mają. Dla nich

pewnie jest ta mała biblioteka na Zaciszu. Mnie czytają rodzice, bo ja sama jeszcze nie umiem. Wolę książki z obrazkami. A jeśli nie ma obrazków, wtedy zamykam oczy i wymyślam sobie to, o czym mi ktoś czyta. Kiedyś sama przeczytam nawet te grube tomy zupełnie bez obrazków.

W domu, wieczorem, zawsze o tej samej porze można też obejrzeć w telewizji Dobranockę. A w sobotę na drugim programie (bo mamy aż dwa programy!) po południu program 5–10–15. Rano w niedzielę, na pierwszym programie, jest Teleranek. Zaczyna się śmiesznie, bo od piania koguta.

Jeśli jestem grzeczna, mogę też obejrzeć film o dalekich krajach albo o zoo we Wrocławiu. W tygodniu są jeszcze dwie audycje specjalnie dla dzieci: Tik–Tak i Piątek z Pankracym. Bardzo je lubię, bo są tam piosenki, których się uczę, siedząc przed telewizorem, i które potem sama sobie śpiewam.

Oprócz śpiewania lubię skakać na skakance. Ale to na dworze, bo w domu nie ma miejsca. Skaczę więc sobie i jakoś zaraz jestem w parku.

Dziewczyny lubią granie w gumę. Właściwie jest to również skakanie. Kostki i kolanka to łatwizna. Ale uda i pas są już trudne, bo trzeba podskakiwać bardzo wysoko.

Kiedy ktoś skusi, wtedy zamienia się miejscem z koleżanką i trzyma gumę, a inni skaczą.

Można też pograć w klasy. I tu się również skacze. Trzeba mieć szczęśliwy kamień lub szkiełko, bo to pomaga w rzucaniu i trafieniu w wybrane pole. I potrzebna jest kreda do narysowania pól. Albo kawałek cegły.

Chłopaki wolą kapsle. Kredą, wprost na chodniku, rysują takie kręte ścieżki i pstrykają swoimi kapslami, aż do mety. Wiadomo, kto wygrał, bo w środku wklejone są flagi. I widać, czy Czechosłowacja, czy Jugosławia czy też NRD.

Starsze dzieciaki grają w piłkę nożną albo w zbijaka. To boli, gdy trafią kogoś piłką. I dlatego młodsi szybko uciekają.

Uciekamy też, bawiąc się w berka albo w ciuciubabkę. Choć nikt nie chce mieć zawiązanych oczu, ale gdy nie są zawiązane to aż kusi podglądać. A to się nie liczy.

Można jeszcze pośmiać się przy zabawie w Pomidora. Na wszystkie pytania trzeba odpowiedzieć „pomidor”. Kto się roześmieje ten zostaje pomidorem i zadaje reszcie pytania.

Mamy jeszcze wiele innych zabaw: fikołki na trzepaku, gąski, gąski do domu, figurki zmieńcie się. Ale już jest późno i muszę wracać do domu. Może niech Wasi rodzice opowiedzą, w co się lubili bawić, gdy byli w moim wieku.

Dobranoc.

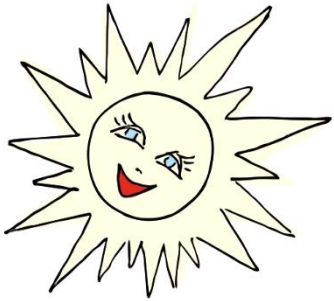

Ptak z podziemi SP nr 114

Małgorzata Gorzelak

Wakacje, jak co roku, minęły za szybko. Nie zdążyłem zrealizować wszystkich moich planów. I znowu zaczęła się szkoła.

Moja siostra Jula cała w skowronkach:

– Nareszcie spotkam się z Zośką i Leną. Ciekawe czy coś zmieniło się w naszej sali? – świergoliła od samego rana.

Szykowała plecak, zeszyty, temperowała ołówki i kredki. Zwariować można. Też mi coś… szkoła. Nudy. W dodatku moja mama zakomunikowała uroczyście, że zapisała nas na kółko teatralne.

– Coo?! – zawołałem. – Ja chcę chodzić na piłkę!

No ale z mamą, jak się uprze, nie ma dyskusji. W dodatku Jula była zachwycona. Stała przed lustrem i robiła głupie miny.

– Hm… może dostanę rolę księżniczki, albo elfa, a może tancerki? – zastanawiała się.

– A może starej ropuchy – zawołałem.

– Filip, nie dokuczaj siostrze – powiedziała mama. Jutro jest pierwsze spotkanie grupy teatralnej, zaraz po lekcjach – dodała.

Z mamą nie było dyskusji. Tata też uważał, że powinniśmy rozwijać swoje talenty. Nawet nie wiedziałem, że posiadam właśnie talent aktorski.

Następnego dnia stawiliśmy się na zajęciach. Zastanawiałem się, jak może wyglądać osoba, która prowadzi koło teatralne. Przychodziły mi do głowy twarze znanych aktorów: Brad Pitt, Angelina Jolie. Już miałem przed oczami widok aktora z filmu o Batmanie, kiedy do sali wkroczyła pani Gertruda. W ogromnie powłóczystej, kolorowej spódnicy i z rozwianą fryzurą. Zastawiałem się, czy choć trochę przypomina Batmana. Raczej nie…, chociaż ta spódnica, która ruszała się przy każdym jej ruchu, trochę przypominała jego pelerynę.

– Moi drodzy, od pierwszych zajęć musimy brać się do pracy, gdyż już w październiku jest uroczystość, na którą przygotujemy przedstawienie – stanowczym głosem powie-

działa pani Gertruda.

– Podzielimy się na grupy. Każda grupa dostanie już dziś zadanie do wykonania.

Jula trafiła do sekcji przygotowującej tańce. Była oczywiście zachwycona. Chociaż główna rola przypadła jej najlepszej przyjaciółce Zośce. Ja dostałem funkcję wnoszącego na scenę różne rekwizyty i elementy scenografii. Takich jak ja było jeszcze troje: Kuba z 3a, Tomek z 2b i Ola z 1d. Pani Gertruda powiedziała, że nasza rola jest nieoceniona. Bez nas nie będzie przedstawienia. Poczułem się bardzo ważny, tym bardziej że to właśnie my mieliśmy iść z panią po rekwizyty i stroje do magazynu teatralnego.

– Do magazynu teatralnego! – pisnęła Kaśka z 2a. – To jest przecież w podziemiach!

– Ktoś mówił, że zamykali tam kiedyś uczniów, którzy nie chcieli się uczyć – dodał Franek z 3d.

– A ja słyszałam, że tam jęczy jakiś duch… Asia z szóstej klasy mówiła – dodała szeptem Zośka.

– O rany! – jęknęła Jula.

Na dalsze stękanie już nie było czasu, gdyż

pani Gertruda zarządziła, że trzeba iść.

Grupa taneczna i ci, którzy mieli uczyć się tekstu, zostali pod opieką pani Joli.

Schodziliśmy po schodach na parter, potem do piwnicy. Spojrzałem na Olę. Miała wystraszoną minę i wielkie oczy. Kuba i Tomek nic nie mówili, co nie było dla nich normalne. Pani Gertruda szła przodem, trzymała w ręku pęk kluczy. Otwierała kolejno zamki w napotykanych po drodze drzwiach. Miałem wrażenie, że tych drzwi była ogromna ilość, jak w warownym zamczysku. Ten schowek teatralny musi kryć jakieś cenne skarby, skoro jest tu tyle drzwi zamykanych na klucz – pomyślałem.

Minęliśmy szatnię, harcówkę, potem wąski korytarz i następny, i w końcu byliśmy na miejscu. Całe szczęście pani Gertruda zapaliła światło. Staliśmy blisko siebie, czułem jak wali mi serce.

– Moi drodzy, przygotowałam wcześniej stroje i rekwizyty. Teraz musimy to wszystko zanieść do sali. Ola weźmie sukienki na wieszakach i słomkowy kapelusz, Tomek czapki krasnali i wiklinowe koszyki, Kuba makietę

z drzewami, a Filip płótno z namalowanym domkiem – powiedziała pani.

Kiedy brałem z półki płótno, zobaczyłem nad swoją głową ogromne ptaszysko. Miało kolorowe pióra i świecące szklane oczy. Musiało leżeć w schowku dość długo, bo było już bardzo mocno zakurzone. Kiedy wyszliśmy ze schowka, jeszcze raz spojrzałem w kierunku ptaka. Miałem wrażenie, że patrzy na mnie swoimi szklanymi oczami i porusza dziobem. Odwróciłem się szybko i pobiegłem w kierunku wyjścia.

Szliśmy przez pierwszy korytarzyk, drugi i kiedy byliśmy już w harcówce, Ola zauważyła, że nie wzięła ze schowka słomkowego kapelusza. Wszyscy mieliśmy już zajęte ręce, pani również, dlatego nie zamykała na klucz drzwi, które mijaliśmy.

– Dobrze byłoby, gdyby ktoś wrócił po kapelusz – powiedziała pani.

Wszyscy zamilkli. Ola miała jeszcze bardziej wystraszoną minę, a oczy wielkie jak cebule. Było mi jej żal, to przecież pierwszak.

– To ja wrócę po ten kapelusz – powiedziałem odważnie.

Przecież byłem tam przed chwilą, żadnego jęczącego ducha nie widziałem, co mogłoby mi się stać… Tomek i Kuba spojrzeli na mnie z podziwem, a Ola z wdzięcznością.

Wróciłem do schowka. Rozejrzałem się w poszukiwaniu słomkowego kapelusza. Nigdzie go nie było. Nagle zgasło światło, usłyszałem zgrzyt zamykanych drzwi i przekręcanego w zamku klucza. Byłem przerażony. Zacząłem biec w kierunku wyjścia, coś zagrodziło mi drogę. Zderzyłem się z tym czymś, czułem jak uderza mnie w głowę. Machałem rękami, w nosie i oczach czułem kurz.

Kiedy otworzyłem oczy zobaczyłem wpatrujące się we mnie szklane paciorki.

– No, nareszcie obudziłeś się – odezwało się ptaszysko. Narobiłeś trochę bałaganu w moim królestwie.

– Co? W twoim królestwie? Ten magazyn w szkolnej piwnicy nazywasz królestwem?

– Nie masz pojęcia, jakie mieszczą się tu skarby: stroje królewien, żab, motyli, czapki czarownic, przyłbice rycerzy, kapelusz Kota w butach, pantofelki Kopciuszka. Nie wspomnę o namalowanych zamkach, rakietach z tektu-

ry i drzewach z krepiny.

– Też mi skarby – prychnąłem z przekąsem aż podskoczyła mi grzywka.

– Gdyby nie byłyby takie cenne, nie zamykano by ich na tyle drzwi.

– No tak, też o tym myślałem – dodałem po chwili zastanowienia. – A ty co tutaj robisz?

– Czekam na swoją rolę. Marzę, że któregoś dnia pani Gertruda przyjdzie właśnie po mnie, po papugę, która zagra na prawdziwej scenie, w blasku reflektorów. Śnią mi się brawa po przedstawieniu…

– Ale z ciebie papuga-marzycielka. Muszę cię niestety zmartwić. W najbliższym przedstawieniu pani Gertruda nie przewidziała żadnego ptactwa.

– No cóż, trudno… może następnym razem. – Ptaszysko spuściło głowę.

Nagle usłyszałem głos pani Gertrudy:

– Filip, Filip, obudź się, popatrz na mnie! Czy coś ci się stało?

Otworzyłem oczy, nade mną stała pani Gertruda i pan Stasio – woźny z naszej szkoły.

Jak się później okazało, to pan Stasio zgasił światło i zamknął drzwi. Myślał, że nikogo

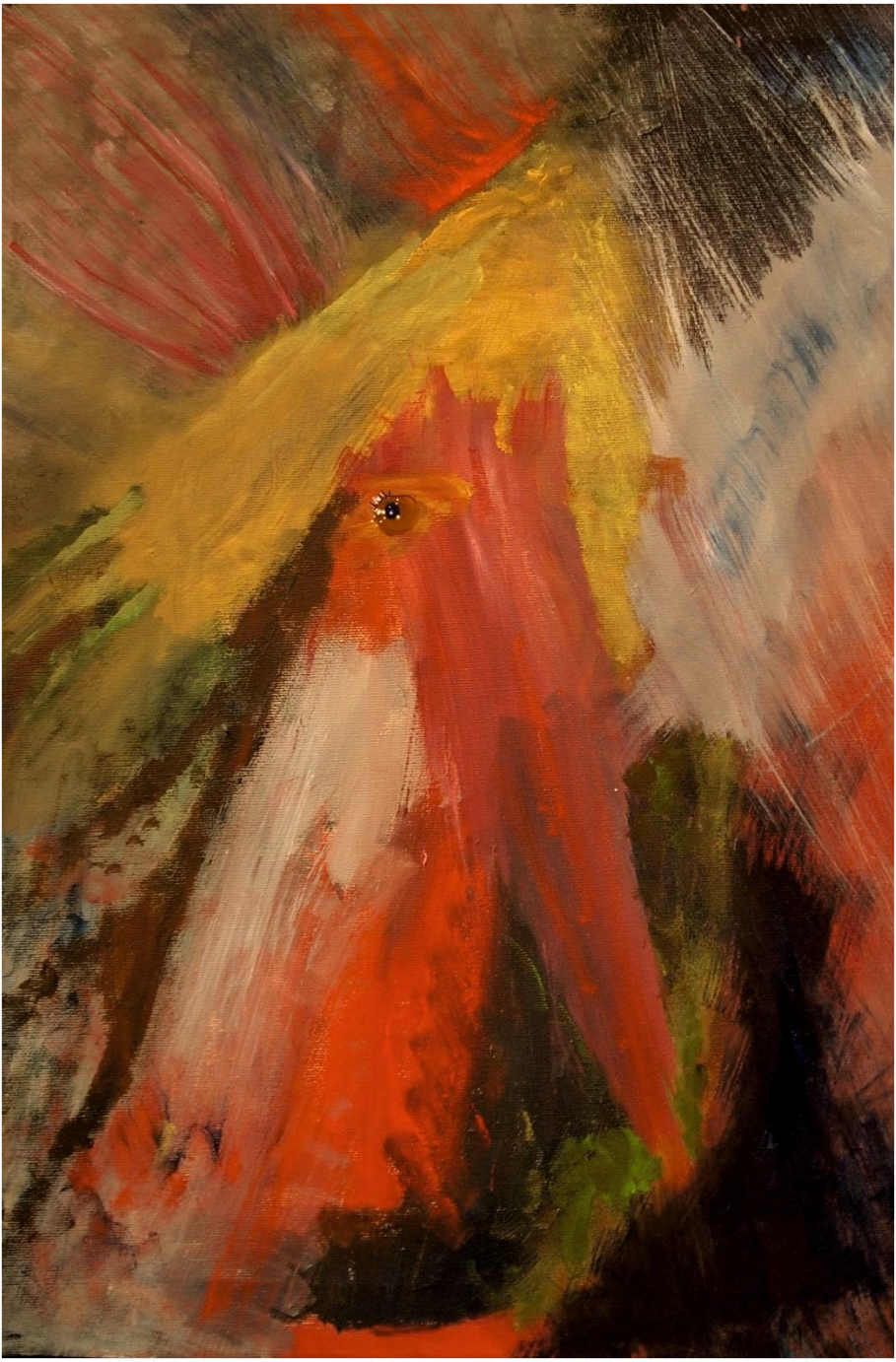

w magazynie nie ma.

Kiedy się ocknąłem, zobaczyłem, że przyciskam do brzucha kolorową, mocno zakurzona papugę. To ona spadła mi na głowę, kiedy w ciemnościach uderzyłem w szafę.

– Proszę pani, czy w naszym przedstawieniu znalazłaby się rola dla papugi? – zapytałem w przypływie olśnienia.

– Hmm…. czemu nie, pomyślimy – odpowiedziała pani.

Przedstawienie było gotowe na czas. Na premierę przyszli nasi rodzice, przyjechała nawet babcia Hania z Łodzi. Zośka bezbłędnie zagrała główną rolę. Jula ubrana w zieloną koszulkę i leginsy grała tańczące runo leśne. Tomek, Kuba i Ola doskonale poradzili sobie z wnoszeniem rekwizytów, wynoszeniem makiety z drzewami, rozwijaniem wielkiego płótna z domkiem.

Ja dostałem rolę narratora. A właściwie nie ja, tylko kolorowa papuga. Zagrała świetnie w świetle szkolnych lamp, a na końcu były ogromne brawa.

O chłopcu, który nie bał się Pana Śmierci

Małgorzata Kubicka

Był sobie raz chłopiec o imieniu Kostek. Mieszkał w bloku na Targówku razem z mamą, tatą i swoim ukochanym misiem Leonardem. Chodził do przedszkola przy ulicy Mokrej i bawił się z kolegami. Najbardziej lubił Jaśka i Kubę. Wspólnie lepili z plasteliny gwiezdne statki lub składali papierowe samolociki. Gdy świeciło słońce, budowali w piaskownicy ogromne, tajemne bazy wojskowe. Właściwie Kostek był szczęśliwy. Kiedy nie chodził do przedszkola, na przykład wtedy, gdy był chory i musiał leżeć w łóżku, albo gdy po prostu była niedziela, odwiedzała go babcia Lucynka. Opowiadała mu bajki o śpiącej królewnie i podawała słodki syrop malinowy.

– Dlaczego królewna nie mogła się sama obudzić? – nie mógł nigdy zrozumieć Kostek

– Ja się zawsze sam budzę i to jeszcze zanim mama i tata wstaną.

– To był zaczarowany sen. Z takiego snu nie można się tak łatwo obudzić – tłumaczyła mu cierpliwie babcia Lucynka. I uśmiechała się ciepło otulając go kołderką w statki kosmiczne pośród niezmierzonego błękitu pościeli.

Ale pewnej niedzieli babcia Lucynka nie pojawiła się na progu jego pokoju.

– Mamo, gdzie jest babcia Lucynka? – spytał chłopiec.

– Babcia umarła – odpowiedziała jego mama ciepłym głosem i przytuliła swojego małego synka do serca. Miała zaczerwienione oczy i smutną minę. Kostek nie wiedział, co to znaczy „umrzeć". Czy to coś podobnego do słowa zepsuć się? Tak jak jego autko na gumowych resorach, które dostał na ostatnie urodziny? Ale tata powiedział, że autko można naprawić. Czy to samo można zrobić z babcią?

– Nie, Kostek – wyjaśniła mu mama. – Po śmierci nie da się już nikogo zreperować. To nieodwracalne. Wyobraź sobie, że to jest tak,

jakby babcia zasnęła i już się nie obudziła.

– Tak jak śpiąca królewna? – dopytywał się Kostek.

– Niezupełnie tak – westchnęła mama.

– A czy ty też tak zaśniesz? – zaniepokoił się chłopiec.

– Kiedyś pewnie tak, ale jeszcze nieprędko.

Od tej pory Kostek przestał lubić porę układania się do snu. Bardzo brakowało mu wtedy babci. Tulił swojego ukochanego misia i leżał, próbując przeczekać noc. Nie chciał zasnąć.

– Czy zabierzesz mnie ze sobą, kiedy umrzesz? – pytał zawsze mamę, gdy przychodziła powiedzieć mu dobranoc i ucałować przed snem.

– Nie zostawiaj mnie – prosił. – Chcę pójść z tobą i być zawsze blisko ciebie, nawet po śmierci.

– Nigdy cię nie zostawię – odpowiadała mama, utulając go do snu.

Kiedy mama zostawiała go rano w przedszkolu, też czuł się smutny. Tęsknił za babcią Lucynką i nie chciał się rozstawać z mamą.

– Moja babcia też umarła – pocieszyła go

Lena. Miała dwa jasne warkoczyki po obu stronach pyzatej buzi i plamy po czekoladzie na policzku.

– Zasnęła na zawsze? – spytał Kostek.

– Nie, wcale nie. Moja mama mówi, że babcia kiedyś wróci. Urodzi się raz jeszcze. Jako ktoś inny.

– Jak kto? – nie zrozumiał Kostek.

– Nie wiem. Ale ponieważ babcia była bardzo dobra, to na pewno urodzi się jako piękna i bogata księżniczka. Albo może nawet królewna.

– Czy przyjdzie wtedy do ciebie?

– Tego nie wiem – zmartwiała się Lena. – Mama nic o tym nie mówiła. Chcesz czekoladkę? – spytała i wyciągnęła rękę z nadgryzioną kulką.

– Nie, dzięki – mruknął zmartwiony Kostek.

– Ludzie po śmierci idą do nieba – powiedziała pani Joasia podczas malowania. Kostek rysował właśnie swoją babcię jako księżniczkę na latającym wojskowym statku. Jego babcia Lucynka też przecież była bardzo dobra, więc na pewno urodzi się jako księżnicz-

ka, a może nawet królowa całej floty okrętów i będzie dowodzić wielkim imperium. Tylko czy będzie o nim pamiętać?

– Ja nie chcę iść do nieba – odpowiedział pani Joasi – Ja chcę zostać z mamą.

– Twoja mama też na pewno pójdzie do nieba – pocieszała go nauczycielka.

– Czy nie możemy zostać tutaj? – nie mógł zrozumieć Kostek. – Czy musimy gdzieś chodzić?

– Na każdego przyjdzie kiedyś jego czas, że będzie musiał odejść.

– Ale dlaczego? – Kostek nie mógł zrozumieć.

Pewnej nocy, gdy Kostek zasnął, tuląc swojego misia, przyśnił mu się Pan Śmierć. Był wysoki i bardzo szczupły. Miał czarny jak noc płaszcz i smutny wyraz twarzy.

– Co tu robisz? – spytał chłopiec we śnie.

– Jestem Pan Śmierć. Zazwyczaj przychodzę kogoś zabrać, ale dziś wpadłem tylko w odwiedziny.

– Naprawdę?

– Tak. Wiesz, ja też czuję się czasem bardzo samotny. Nie mam z kim porozmawiać.

A już zupełnie nie mam z kim się pośmiać. Nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz się śmiałem – westchnął Pan Śmierć.

– Ja się śmiałem wczoraj. Kiedy Jasiek wylał sok z porzeczek na sukienkę Lenki – przypomniał sobie Kostek i poweselał na samo wspomnienie.

– A czy Lenka też się śmiała?

– Z początku nie. Miała taką zaskoczoną minę. O taką – pokazywał Kostek. – Ale potem powiedziała, że to dobrze, bo nie lubiła nosić tej sukienki i teraz mama na pewno już jej nigdy nie da do założenia. I też się zaczęła śmiać. – Kostek roześmiał się serdecznie w swoim śnie.

– To zabawne – uśmiechnął się Pan Śmierć.

– Tak. I powiedziała, że ta plama przypomina jej bordowego kucyka, ale dla mnie wyglądała jak frachtowiec bojowy. Bardzo chciałbym dostać taki pod choinkę.

– Jeśli będziesz tego bardzo mocno pragnął, to może twoje marzenie się spełni – zamyślił się Pan Śmierć.

– A jeśli będę chciał, żeby babcia Lucynka

SOS

wróciła? – spytał chłopiec.

– Pewne rzeczy są nieodwracalne – westchnął Pan Śmierć. – Ale babcia Lucynka wcale nie odeszła na zawsze – powiedział.

– Jak to?

– Będzie istnieć w twoich wspomnieniach. Dopóki o niej nie zapomnisz – wyjaśnił Pan Śmierć.

– Nigdy o niej nie zapomnę – zapewnił Kostek. – A moja mama? – przypomniał sobie nagle i posmutniał.

– Twoja mama i ty macie jeszcze bardzo dużo czasu – zapewnił Pan Śmierć.

– Nie kłamiesz?

– Słowo Śmierci.

– To super. Wpadniesz do mnie jeszcze?

– Bardzo chętnie. Ale teraz już na mnie pora. Muszę się pożegnać.

I Pan Śmierć zniknął. A Kostek obudził się następnego ranka i już nie bał się o swoją mamę. Miał w końcu słowo Śmierci. I miał też nadzieję, że Pan Śmierć odwiedzi go jeszcze kiedyś. Nikt nie powinien być bowiem samotny i smutny. Nawet Śmierć.

Manetery

Kinga Woźniczko, mama Tosi.
(bajka inspirowana przygodami Muminków)

Manetery przemierzają długie nieskończone labirynty morskich korytarzy. Ich wędrówka rozpoczyna się na dnie oceanu w jamach zimnych skał, gdzie rodzą się jako małe półprzeźroczyste stworzenia. Ich niewielkie, wijące się, obłe ciałka wyglądają niczym srebrzysta serpentyna, która mieni się w znikomo przepuszczanym przez odmęty świetle promieniach słonecznych. Wyglądają zjawiskowo, ale bardziej zjawiskowa jest ich misja.

Meduzowate Manetery rodzą się z życzeń małych dzieci i pomagają im ziścić swoje marzenia. Każda, nawet najmniejsza myśl, zamykana jest w pęcherzyku lekkiego powietrza, w środku którego powstaje drobna Manetera. Rozwija się i żyje po to, by dotrzeć do dziecka i spełnić to, co wymarzyło.

Dzieje się to w bardzo dziwny i niesamowi-

ty sposób. Stworzenie, płynąc w szeregu razem z innymi, nuci swoją pieśń będącą mantrą imienia osoby, która dała mu początek swojego istnienia. Powtarza imię. Imię. Imię Tosia. Tym razem jest to dziewczynka z Warszawy z dzielnicy zielonych, starych kasztanów rosnących wzdłuż zatłoczonych ulic – Targówka.

Tosia mieszka tu od urodzenia, ale uwielbia przenosić się na czyste łono natury. Gdy stoi na wielkiej polanie pokrytej zielenią, na przykład na pustkowiu, obserwuje bacznie wtopione w nieboskłon asteroidy i gwiazdy, które migocząc, przypominają złocistą powłokę utkaną przez niebiańskie ręce Morfeusza. Wokół niej słychać tylko głęboką ciszę, która muska jej policzki delikatnym powiewem senności. Wielki ocean niezmierzonych wartości nocy przepełnia jej umysł, wylewając swój nadmiar na zewnątrz jej ciała w postaci strumieni wrażliwości oraz ciepłego uczucia.

Ukołysana lekkością wieczora, uspokaja się swoją wolnością. Marzy wtedy o swojej przyszłości, a czasem o zwykłych rzeczach.

To marzenia sprawiają, że jest wolna i czeka ją świetlana przyszłość, w której będzie dla siebie samej sterem, żeglarzem i okrętem. Wszystko jest w zasięgu jej dłoni. Może wszystko! Jest jeszcze mała, bo ma zaledwie kilka lat, ale już wyrasta na silną i mądrą kobietę. Wierzy bardzo mocno w swoje marzenia. Tu z pomocą przychodzą właśnie Manetery. Płynące w swoich bąblach powietrza, przylegających mocno do ich wodnistej skórki, stworzenia są tak lekkie, że z łatwością unoszone przez prądy oceaniczne. Gdy marzenie jest małe, one płyną wolno. Gdy dziecko coraz silniej czegoś chce, one coraz szybciej przemieszczają się ku tafli wody. Wtedy następuje uwolnienie. Manetera unosi się nad parującym oceanem, w wilgoci kropel chmury przemierza tysiące kilometrów i podąża za kompasem imienia dziecka. Pokonuje lądy i morza. Zbliża się coraz bardziej do miejsca na kontynencie lub wyspie, gdzie mieszka wybrana dziewczynka czy chłopiec. Marzenie przybiera na sile, na sile przybiera też nieunikniona burza. Następuje eskalacja, wielki błysk i grzmot są zapowiedzią spełnie-

nia marzeń dziecka.

Tosia nie boi się burzy. Czeka na nią z ekscytacją, bo wie, że w padających kroplach deszczu ukryta jest Manetera, która przyniesie jej szczęście. Wyciąga rękę, aby złapać kroplę, wtedy bąbel pęka, stworzenie wydostaje się i chowa się w rączce dziecka. Ono zamyka dłoń, a po chwili, gdy ją otwiera, czuje tylko ciepłe uczucie przyjaznego maleństwa, które wyparowało. Manetera dotarła właśnie do Warszawy, na ulicę Łojewską.

Następnego dnia, po burzy, Tosia czeka na rzeczywiste spełnienie marzeń.

A ty? Czy też wyciągniesz rękę po swoje szczęście?

Hiper zaczarowana biblioteka

Agnieszka Szadkowska

Dobrze, opowiem Wam pewną historię, ale pamiętajcie nikomu o tym nie mówcie. To zdarzyło się naprawdę, choć, gdy będziecie to czytali, z pewnością pomyślicie, że to opowieść zmyślona. „A jednak są rzeczy na świecie i na ziemi, o których się nie śniło nawet filozofom" – tak rzekł kiedyś ktoś wielki i miał rację. Posłuchajcie.

*

Było już późno. Zegar wybił właśnie godzinę 19:00 i jak co dzień gasiłam hałaśliwe komputery, migające światłem jarzeniówki i odkładałam na półki wędrujące dziś do dziecięcych rąk książki. Biblioteka szła spać, a ja udawałam się do własnego domu, w którym czekały na mnie dwie dziewczynki. Już prawie wychodziłam i kluczem zamykałam drzwi, gdy wtem usłyszałam pewien niepoko-

jący szmer dobiegający z sali. A w bibliotece, musicie wiedzieć, jeśli nigdy w niej nie byliście, jest wielka sala, a w niej rzędami poustawiane regały. Każdy z nich ma po kilka półek czule uginających się od nadmiaru kolorowych książek. Sala ta jest magiczna, a jej niezwykłość kryje się w tych księgach – jednych małych i cienkich, innych całkiem grubych i przysadzistych. Wszystkie łączy cudowna magia, każda z nich ma tajemniczą, niezbadaną moc. Mogą przenieść cię w miejsca oddalone o tysiące kilometrów, dzięki nim spotkasz nadziemskie istoty, leśne skrzaty, nimfy i trolle, odnajdziesz zapachy mówiących kwiatów i śpiewających drzew. Tak mniej więcej jest w bibliotece, ale nie o tym teraz.

Właśnie wychodziłam, gdy usłyszałam ten szmer, jakby ktoś chodził, ale nie tak normalnie, to nie były ludzkie kroki, nie, to były kroki… No nie wiem sama… To był jakby odgłos tupania, takiego ciepłego dotyku miękkich łapci i delikatny ruch książek.

Bardzo cicho i spokojnie zaczęłam skradać się do własnej biblioteki… Rozumiecie mnie?

Świerszczyk
Victor Junior
My little pony
Kaczor Donald
Świerszczyk
Kaczor Donald
Świerszczyk
My little pony
My little pony
Victor
My little pony
Świerszczyk
J.K. ROWLING HARRY POTTER

To jakby skradać się do własnego pokoju – całkiem śmieszne! Koniecznie chciałam zobaczyć, cóż tam takiego się dzieje. Na początku myślałam, że to mysz tak chrobocze, ale cień przemykający pomiędzy półkami był o wiele większy i wzrostem przypominał mi małego chłopca. Pomyślałam, że to na pewno Krzyś, nasz stały bywalec, postanowił zrobić małego psikusa i schował się między regałami, aby skorzystać w nocy z naszych zbiorów.

Nic bardziej mylnego! Ten cień to nie był Krzyś. Przekonałam się o tym, gdy zobaczyłam, że jest mały, ale za to szeroki i w ogóle ma dziwną budowę. Poprawiłam lekko opadającą mi na oczy grzywkę (żeby lepiej widzieć, rzecz jasna) i dalej wpatrywałam się w coraz bardziej dokazujący cień. I wiecie co? Gdy mu się przyjrzałam, mało nie upadłam z wrażenia na podłogę. To był nikt inny jak Kret! No wiecie, nie chodzi o takiego kreta – zwierzę, nie, nie o to. Zaraz wszystko wam wyjaśnię, bo to naprawdę niebywała historia.

Pewnego dnia do naszej biblioteki przyszła z mamą mała dziewczynka. Dziewczynka, jeśli pamięć mnie nie myli, miała na imię Ola.

Przyniosła do nas takiego ogromnego kreta z bajki o Kreciku pana Milera. Krecik był dużym pluszowym stworzonkiem. Miał czarny garniturek i białą okrągłą łatę na brzuszku oraz czarną główkę z lekko zadartym czerwonym noskiem. Jego duże czarne łapki były stale rozchylone i wciąż gotowe dać każdemu dziecku ogromnego „przytulaka", a wzrok miał ciepły, wesoły i baaardzo mądry, czym szybko zjednał sobie wszystkie dzieci.

Ola postanowiła podarować go nam, bo wyjeżdżała daleko i nie mogła go ze sobą zabrać. I tak Krecik zastał w bibliotece. Zamieszkał wśród tysiąca książek. Jednak nie wiedziałam, że jest on… czarodziejski!

Wpatrywałam się w niego jak zahipnotyzowana, a on całkiem swobodnie zeskoczył ze swojego obrotowego krzesła. Wyjął ze swej czarnej marynarki okrągłe okulary, założył je na nos i zaczął spokojnie przechadzać się pomiędzy regałami. Najpierw wziął z półki jedną książkę, odłożył ją, później drugą i tak po kolei brał, wertował, oglądał, niektóre podczytywał, pomrukiwał i odkładał na miejsce. Niezbicie czegoś szukał. Chwilami był baaardzo

TARGÓWEK M. ST. WARSZAWY

niespokojny i gdy już jego pomruk zmienił się w całkiem głośny i rozdrażniony głos, nagle wziął kolejną książkę do swojej łapy i zaraz podskoczył radośnie, aż okulary spadły mu na jego biały okrągły brzuszek, a twarz rozjaśniała uśmiechem!

– Mam! Jest! Ja cię, nie mogę! To jest wporzo! Mam! Eureka! – wykrzykiwał.

Zakręcił się na jednej nodze, odtańczył coś jakby hip-hop i z radości stanął na głowie.

– Wow, mam! Mam! Znalazłem! Ja cię kręcę, ale chłopaki będą mi zazdrościli! To jest to, Harry, Harry Potter!

Po czym wziął pierwszy tom książki i pacnąwszy pupą na podłogę, zabrał się za lekturę. Czytał i czytał, i czytał, i raz zaśmiewał się, a raz wydawał dziwne pomruki i chrząknięcia. Innym razem to mu taka łza poleciała, że pod regałem powstała wielka kałuża.

A ja parzyłam na niego z przejęciem i nadal nie wierzyłam własnym oczom. Po cichu wycofałam się z sali tak, by mnie nie zauważył i poszłam do domu.

Takie to dziwne rzeczy dzieją się w naszej bibliotece. Uwierzycie?

Bajka o kolorowym kocie

Agnieszka Kazała
inspirowana opowieścią Emilii Krajewskiej, sąsiadki

Na skraju naszego osiedla, w pewnym domu, nie za dużym, nie za małym, mieszkała maleńka dziewczynka. Miała niecałe trzy latka, gdy przyszło to upalne lato. Jej kot nie mógł wylegiwać się na parapecie, choć to zawsze było jego ulubionym zajęciem, bo słońce prażyło zbyt mocno, a parapet parzył w łapki. Wylegiwał się więc na huśtawce pod drzewem oplecionym winoroślą. Promienie słoneczne przedzierające się przez gałęzie drzewa i krzewu barwiło jego czarne futerko w jaśniejsze i ciemniejsze łatki, i wyglądał jakby był namalowany.

W ogrodzie babcia dziewczynki zawiesiła przy karmniku poidełko dla ptaków. Im też doskwierał upał. Kot obserwował kolorowe sikorki i oblizywał się ukradkiem. Rozalka patrzyła na niego i miała wrażenie, że robi się

kolorystycznie podobny do sikorek. Ale jej mama groziła kotu paluszkiem

– Nie wolno – mówiła przy tym. A kot udawał, że to nie do niego, bo właśnie drzemie.

Pewnego poranka, gdy wszyscy domownicy jeszcze smacznie spali, w domu zaczęło się dziać coś dziwnego. Jakieś odgłosy zbudziły małą Rozalkę. Podniosła główkę ze swej podusi w gwiazdeczki. Wyjrzała z łóżeczka i zobaczyła, że kot przesuwa swoją miskę w kierunku kominka. Szurał i szurał, i stąd był ten metaliczny dźwięk, który zbudził dziewczynkę. Promienie wschodzącego słońca wpadały do pokoju i barwiły wszystko na różowo i pomarańczowo. Kota też.

– Co robisz? – zainteresowała się dziewczynka, a kot zamruczał jakby chciał powiedzieć:

– Idź spać, ja czekam na śniadanie. – I przyczaił się nad miską, a odbijające się od niej blade światło barwiło mu wąsy na srebrny kolor. Wolno poruszał ogonem i wpatrywał się w kominek.

Rozalka zauważyła, że coś się w nim, znaczy w kominku, trzepocze.

– Coś tam jest – zdziwiła się.

Te rozmowy zbudziły jej mamę. Wstała po cichutku i zajrzała do pokoju.

– Co tu się dzieje? – spytała, widząc leżących na podłodze pod kominkiem i kota i córkę.

– Mamo, tam coś jest, w środku – wyszeptała podekscytowana Rozalka. – Kot szurał miską i mnie zbudził. Taki tu zrobił hałas. Chyba będzie jadł to coś na śniadanie. – Wskazała kota i jego miskę.

Mama, nie otwierając szklanych drzwiczek, zajrzała do kominka. Faktycznie coś w nim było, bo gdy zbliżyła swoją twarz do szyby, to coś wzbiło się w górę i zniknęło w kominie.

– To jakiś mały ptaszek – zmartwiła się. – Możliwe, że młode pisklę, które uczy się latać i całkiem niechcący wpadło w kominowy otwór. Trzeba mu pomóc. A wy? – Spojrzała na leżące wciąż na dywanie towarzystwo. – Sio stąd. Dam wam śniadanie w kuchni, żeby nikomu – tu znacząco spojrzała na kota – nie przyszło do głowy zjadać piskląt.

Mama wzięła miskę i nasypała kotu jego

ulubionej karmy. Kot zjadł, ale tak jakby bez przekonania. Wciąż zerkał w kierunku kominka.

– Czy w tym domu nikt nie może spać przy niedzieli? – W drzwiach kuchni stanął tato, oczywiście jeszcze w piżamie, i wciąż nieco zaspany. Pracował cały tydzień i lubił w dzień wolny troszkę dłużej poleniuchować. Wysłuchawszy relacji mamy, postanowił włączyć się w akcję ratowania niespodziewanego kominowego gościa.

Mama pootwierała szeroko wszystkie okna, zamknęła zaś drzwi do kuchni. Rozalka i kot spojrzeli po sobie. Kot jakby pociemniał. Zrozumiał, że nic dziś nie upoluje. Dziewczynka przylepiła nos do szyby kuchennych drzwi, podglądając działania rodziców. Kot się obraził.

Tato otworzył drzwiczki od kominka, wyjął ustawione tam drewienka i wygarnął resztki popiołu i sadzy, by nie rozsypały się na mięciutki dywan w pokoju i żeby mama nie miała dodatkowego sprzątania. Mama pozsuwała wszystkie firanki, by nie zaplątał się w nie mały gość, gdy już wyfrunie z kominka.

Potem usiedli na kanapie i cichutko czekali. Po chwili osłabiony ptaszek opadł z komina na płaską powierzchnię paleniska. Rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem i gdy dostrzegł otwartą przestrzeń, wyfrunął na pokój. Zrobił kilka okrążeń aż wreszcie trafił w otwarte szeroko okno i wydostał się na wolność.

– A wiesz może, co to był za ptak? – spytał tata.

– Czarny – odpowiedziała bez wahania mama.

– Chyba zebrał na siebie wszystką sadzę z komina – zauważył tata i obydwoje się roześmiali.

Pozamykali kominek i okna i udali się na zasłużone śniadanie.

Kot wskoczył na parapet i lustrował uważnie okoliczne drzewa. Ptaki świergotały radośnie, powietrze pachniało poranną rosą i lawendą. Kot zwinął się w kłębek i postanowił zdrzemnąć. Czasem tylko zastrzygł uchem. Śniły mu się ptasie pióra. Mama spoglądała na niego, popijając kawę i miała wrażenie, że znów jest kolorowy.

Magiczna opowieść

Beata Grochowska

Dawno, dawno temu, może jakieś czterdzieści lat wstecz… W czasach, które pamiętają jedynie najstarsi mieszkańcy Targówka, na tym terenie – niczym wielgaśne dinozaury – pojawiły się ogromne maszyny i dźwigi, koparki i betoniarki, i rozpoczęły budowę wielkiego osiedla.

Osiedle to zostało nazwane tak jak dzielnica, czyli „Targówek". Jak grzyby po deszczu wyrastały bloki, jeden po drugim. Budynki pojawiały się niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a następnie przyjeżdżali ludzie, którzy prawie jak zdobywcy obcego lądu zasiedlali dopiero co wybudowane mieszkania.

Ogromna pustynia budowy zmieniła się nagle w dżunglę miejską, w której każdy zaczynał czuć się dobrze. Wszyscy miło spędzali czas wśród sporej gromady sąsiadów, którą

zdążyli dopiero co poznać i zaprzyjaźnić się. Żeby było jeszcze milej, organizatorzy tego miejsca, czyli Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa „Praga", postanowili urządzić swoim mieszkańcom miejsca, gdzie mogliby się spotykać. Były to kluby osiedlowe. W ten oto sposób powstał Klub Pinokio i Klub Kołatka. Tak mieszkańcy nazwali miejsca sąsiedzkich spotkań, które służą im do dziś.

Osiedle rozrastało się nadal i było już zbyt duże, by mogło funkcjonować jako jedno. Powstało więc drugie nazwane od głównej ulicy ciągnącej się wtedy przez Targówek. Na mapie Warszawy pojawiło się Osiedle „Generalska". Tu również postanowiono umilić mieszkańcom życie i oprócz sadzenia drzew, krzewów i trawników oraz budowy placów zabaw, otworzono placówkę pod nazwą Nasz Klub. Istnieje on po dziś dzień i mieści się przy ulicy Zamiejskiej 1. Przez te wszystkie lata zmieniali się jego bywalcy, ale ogólna idea tego miejsca pozostała.

Nasz Klub jest miejscem wprost magicznym, a już sama jego nazwa wskazuje na jego wyjątkowość.

Jest to klub dla wszystkich NAS; również dla Ciebie, Czytelniku.

Kiedy kończy się dzień pełen rozmaitych zajęć i imprez, gasną światła, ludzie idą do swych domów, wtedy zaczyna się prawdziwe życie Klubu. Wszystkie przedmioty ożywają, zabawki zaczynają mówić ludzkim głosem, a kwiaty pląsają w rytmie, jaki zagrają instrumenty się tam znajdujące. Koniki na biegunach przemierzają niewielkie przestrzenie i zaglądają do klubowych zakamarków, ale dla nich jest to duży obszar, ponieważ same nie są wielkich rozmiarów.

Posłuchaj, co wydarzyło się w Naszym Klubie pewnego razu, późno w nocy. Było to zimą. Mróz trzaskał za oknem, ale w klubie było ciepło, miło i bardzo przyjemnie. Jedyne, co było niezbyt miłe, to ciemność spowijająca ściany. Nagle z pawlacza spadła zabawka. Była to mała pluszowa małpka, która z powodu nadmiernej ruchliwości i nieuwagi, nie była w stanie usiedzieć cichutko na swoim miejscu. Niestety, pawlacz był dość wysoko i małpka nieco się poturbowała.

– Auuuu! – lamentowała.

Wydawać by Ci się mogło, że nic jej nie odpowiedziało, bo w Klubie były tylko przedmioty, a jak wiadomo przedmioty są nieożywione. Okazuje się, że nic bardziej mylnego! Otóż, odezwało się jedno z krzeseł w pobliżu.

– Nie mogłaś powiedzieć, że chcesz spadać? Podsunąłbym się i spadłabyś bezpiecznie na miękkie.

– Kiedy ona zapewne nie wiedziała, że spadnie. – Stanęła w jej obronie szafa.

– Ja myślałam, że to nie jest tak wysoko – tłumaczyła małpka.

– Oj, jest, jest – dopowiedział stół.

– Przecież nawet ludzie, którzy chcą coś sięgnąć z góry, muszą wspinać się na mój grzbiet.

– Coś sobie zrobiłaś? – zapytała szafa, zmieniając temat.

– Nie wiem – odparła nieśmiało małpka. – Ale strasznie mnie boli łapka.

– Hmmm. To nie ma żartów – powiedziało krzesło. – Trzeba jechać do szpitala.

– Jak to do szpitala? – przeraziła się nie na żarty małpka. – Przecież jesteśmy w zamkniętym Klubie.

– Coś ci powiem, moje dziecko – odparło krzesło w tonie eksperta. – A od czego mamy wyobraźnię?

– No tak – przytaknęła zabawka.

– No więc… w drogę, ruszajmy – dodało energicznie krzesło.

– Ale gdzie? – zapytała szafa.

– Zaraz wezwiemy taksówkę i pojedziemy do szpitala – ciągnęło dalej krzesło.

– Gdzieś tu powinien być taki pomarańczowy telefon. O, jest.

Krzesło ramionami swoich oparć wygrzebało z ogromnego, pełnego zabawek pudła stary rozklekotany aparat telefoniczny, a następnie wybrało numer do korporacji taksówkowej.

– Halo, dobry wieczór. Tu mówi Jan Kowalski, chciałem zamówić taksówkę. Jaka ulica? Zamiejska 1. Mój numer telefonu to: 22 679-58-52. Co? Trzeba czekać aż 20 minut? No dobrze, trudno… Ale jak by się udało krócej, będę wdzięczny… Mamy tu pacjenta do szpitala. Tak czekam. Do widzenia.

– Załatwione! – powiedziało z wielką dumą krzesło.

– Jak to: Jan Kowalski? Ty się nazywasz Jan Kowalski? – dopytywała małpka.

– Niee, ale co miałem powiedzieć? „Krzesło dzwoni”? Kto by mnie poważnie potraktował? A poza tym, gdy się do kogoś dzwoni, to należy się najpierw przedstawić. Tak nakazują dobre obyczaje.

– Co racja, to racja – potwierdził melodyjny głos z daleka.

– Kto to mówi? – żywo zainteresowała się małpka.

– Nie kto, tylko co – odpowiedział dystyngowanie właściciel głosu z końca sali. – Stoję tu w kącie i wydaję dźwięki.

Jak powiedziało tak zrobiło, bo było to pianino. I zagrało melodyjkę dla umilenia czasu.

– Jak nas znajdą ci z taksówki? – niecierpliwiła się szafa.

– Znajdą, znajdą, zlokalizują nas – odpowiedziało jej krzesło.

– Ooo, skąd ty wiesz takie rzeczy? Przecież siedzisz na miejscu i nosa nie wyściubisz poza ten Klub.

– To nie ma znaczenia. Do Klubu przychodzą bardzo mądrzy ludzie. Wystarczy „nasta-

wić uszu" i już wszystko się wie, co w wielkim świecie słychać, i jakie są nowatorskie technologie. A poza tym, nie mów tak, nie zawsze jestem w Klubie. Czasem zabierają mnie na festyny. Wtedy to się czuje wielki świat.

Tak oto krzesło rozmarzyło się mocno. Do rzeczywistości pomogła mu wrócić małpka, która przez chwilę się nie odzywała.

– Panie Krześle, jak długo pan tu stoi? Chodzi mi o to, ile w tym Klubie.

– Oj wystarczająco długo, by się zmęczyć. Czy ty wiesz, jak to jest codziennie dźwigać ludzi? A poza tym jest to stojąca robota, ani chwili siedzenia, to znaczy mojego siedzenia, za to inni siedzą na mnie – uszczegółowiło krzesło.

Tak oto trwała jeszcze jakieś dziesięć minut ta rozmowa, gdy nagle szafa krzyknęła:

– Jedzie taksówka!!!

Rzeczywiście, w ciemnym korytarzu zamigotały światełka reflektorków zabawkowego autka i podjechał żółty samochód z sygnalizatorem TAXI.

– Proszę wsiadać, drzwi zamykać! – krzyknął mocnym głosem taksówkarz. Okazało się,

że wszyscy go znają. Był to sąsiad pozostałych zabawek – gruby brązowy miś Bert.

– Dobry wieczór, Panie Misiu – wyartykułowało krzesło, ciągnąc dalej: – Możemy jechać do szpitala? Małpka spadła z pawlacza i coś jej się stało w łapkę.

– Nie ma sprawy, już jedziemy – oparł miś i pomógł małpce wsiąść się do samochodu.

Auto ruszyło, a chwilę potem znalazło się przy wielkiej skrzyni, gdzie stał ogromny zabawkowy szpital.

Zabawką to on był dla dzieci, które w dzień przychodziły bawić się w Klubie. W nocy naszej małej małpce posłużył za prawdziwy szpital. Pan kierowca taksówki, miś Bert, zaprowadził małpkę do lekarza i czekał na nią, aby odwieźć z powrotem pod pawlacz. Małpka była bardzo dzielna i cierpliwie znosiła niezbędne czynności, jakie musiał wykonać lekarz. Zdiagnozował on, że łapkę trzeba jednak włożyć w gips, gdyż jest zwichnięta. Pan doktor był zresztą wszystkim zabawkom dobrze znany, bo był to Ken-Michael, a pomagała mu pielęgniarka Barbie-Vanessa. Takie imiona nadały swoim lalkom dzieci; te które

przychodziły na co dzień do Klubu.

Tymczasem w Klubie wszystkie zabawki się ożywiły i zaczęły burzliwą dyskusję na temat stanu zdrowia małpki i tego jak to się stało, że spadła z pawlacza. Kiedy ich ekscytacja tym tematem minęła, ktoś wysunął propozycję zrobienia przyjęcia na cześć przyjazdu małpki ze szpitala. Wszystkim ten pomysł bardzo się spodobał, więc rozpoczęli przygotowania. Sprawnie podzielili się zadaniami i każdy wziął się żwawo do roboty. Żyrafy z racji swej wysokości bez problemu wieszały dekoracje: serpentyny i baloniki, które wcześniej nadmuchały im różowe świnki. Zielone żabki namalowały transparent powitalny, który również powiesiły długoszyje.

Pani słonica, uchodząca za przykład świetnej gospodyni, postanowiła coś upichcić na zabawkowej kuchence. Wcześniej jednak długonogie świerszcze wyskoczyły na zakupy do pobliskiego kącika sklepowego.

Minęło może z pół godziny, kiedy przyjęcie na cześć chorej małpki było przygotowane. Gałgankowa laleczka Gosia pięknie przystroiła stół, za który posłużył tym razem bę-

benek.

Wokół zapachy pieczonego ciasta mieszały się z wonią przepięknych czerwonych róż.

– Jak to możliwe, w środku zimy takie kwiaty? – zapytała kolorowa piłka.

– A od czego mamy wyobraźnię? – odpowiedziało w dawnym tonie krzesło, które było dumne i blade z wrażenia, że przysłużyło się do takiego miłego zamieszania.

– Jadą, jadą! – krzyknął nagle głos z wysoka, ze szczytu wieży ułożonej przez dzieci z klocków poprzedniego dnia.

– Chowajmy się – zapiszczała myszka-przytulanka.

Nagle drzwi otworzyły się i przekroczyła je mała małpka z łapką na temblaku. Tuż za nią stał miś Bert.

– Niespodzianka! – wykrzyknęły chórem zabawki.

Wszystkie instrumenty z pianinem na czele zagrały na cześć małpki wesołe: *Sto lat*. Małpka wyraźnie się wzruszyła, a miś Bert opowiedział wszystkim, jaka to była dzielna w szpitalu.

Rozpoczęła się zabawa, która trwała aż do

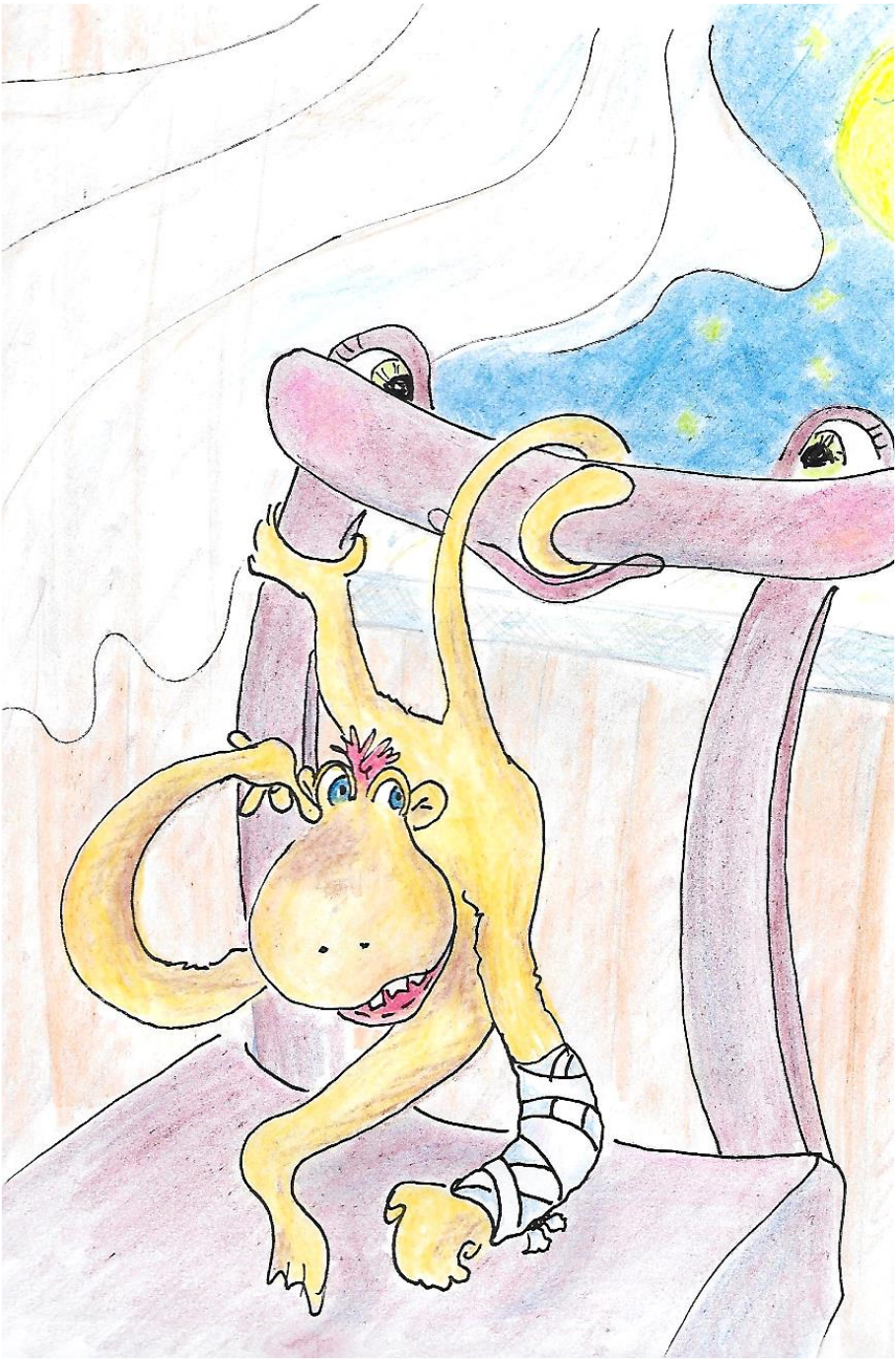

białego rana. A kiedy się rozwidniło wszyscy poszli spać.

Czy wiesz, co wydarzyło się dalej?

Nastał dzień i do klubu przyszły dzieci.

– Mamo! – zawołał mały Jaś, który codziennie uwielbiał się bawić małą pluszową małpką w Klubie – Dlaczego ta małpka ma obwiązaną łapkę? Przecież wczoraj jeszcze tego nie miała.

– Pewnie za bardzo brykała w nocy i trzeba ją było zawieźć do szpitala – odpowiedziała w żartach mama. Nie miała pojęcia jak bliska była prawdy.

Tymczasem krzesło, które się przebudziło, słysząc taką rozmowę, puściło porozumiewawczo oko do szafy. Nikt z dorosłych jednak tego nie zauważył, bo nikomu nie przyszło do głowy, że takie rzeczy mogą zdarzać się w Naszym Klubie.

Pozostałe dzieci też miały wątpliwości, czy zostawiły zabawki poprzedniego dnia dokładnie w takim samym stanie, w jakim dziś je zastały.

Pani prowadząca zajęcia poprosiła wszystkie pociechy i ich rodziców na dywan, otwo-

rzyła książkę, na której był wyeksponowany wielkimi literami tytuł „Z bajką przez pokolenia”. Zasiadłszy naprzeciw nich, przeczytała jedną z bajek pod tytułem: „Magiczna przygoda”.

– Aaaa – powiedział mały Jaś po wysłuchaniu opowieści. – Już wiem dlaczego małpka ma owiniętą łapkę!

Pani opowiedziała następnie swoim małym słuchaczom i ich opiekunom, że ta właśnie książka, z której bajkę przeczytała, powstała tu, w Naszym Klubie, i że bajki napisali dorośli z myślą o małych mieszkańcach swojej Dzielnicy. Ilustracje przygotowali również oni, czasem ze swoimi milusińskimi. A wszystko dlatego, że dorośli mieszkańcy naszej Dzielnicy, czyli Targówka, bardzo kochają dzieci i starają się robić dla nich jak najwięcej. Nikt już nie pamięta na przykład, że najładniejsze place zabaw dla dzieci w Warszawie zaczęły powstawać właśnie na Osiedlu „Generalska”. A teraz napisano tu antologię bajek w ramach projektu pod takim samym tytułem, jak tytuł tej książki, czyli: „Z bajką przez pokolenia”.

Koniec

Zdjęcia z realizacji projektu pt. „Z bajką przez pokolenia”.

Projekt pt. „Z bajką przez pokolenia" zrealizowany został przez Bibliotekę Publiczną w Dzielnicy Targówek m.st. Warszawy we współpracy z klubem osiedlowym Nasz Klub RSM Praga Osiedle „Generalska". Środki finansowe na jego wykonanie pozyskane zostały z Funduszu Animacji Kultury 2017.

W ramach projektu odbywały się spotkania sąsiedzkie, których tematem przewodnim była bajka. Spotkania te miały charakter warsztatów pisarskich i plastycznych. Mieszkańcy pisali bajki, w których „pojawiała się" nasza dzielnica, a następnie je ilustrowali, podczas specjalnie przygotowanych zajęć i plenerów malarskich.

Zarówno warsztaty pisarskie jak i ilustratorskie odbywały się pod okiem doświadczonego twórcy lokalnego - Agnieszki Kazały, pisarki i graficzki.

Warsztaty prowadzone były na obszarze Targówka Mieszkaniowego, w pomieszczeniach i na terenie zielonym wokół klubu osiedlowego Nasz Klub przy ul. Zamiejskiej 1.

Efektem końcowym powyższych działań jest książka, którą właśnie trzymacie w ręku, a której autorami oraz ilustratorami są mieszkańcy Targówka.

Mamy nadzieję, że bardzo Wam się spodoba.

ISBN: 978-83-920764-4-5

Nad jakością druku książki i materiałów reklamowych czuwała drukarnia: TOTEM

sfinansowano z Funduszu Animacji Kultury

Program Rewitalizacji

na_prawa Warszawa

Warszawski Program Edukacji Kulturalnej